

Mysliwy



NA DZIEŃ 3 LISTOPADA

Nie tylko w Polsce, ale w Europie całej, świat łowiecki przez uroczyste obchody i specjalne łowy czci w dniu 3 listopada pamięć św. Huberta, który patronuje myśliwym całego globu od przeszło 1000 lat. Znana jest jego historia nawrócenia. Rozpisują o tym zdarzeniu obszernie *Acta Sanctorum* z pierwszym dokumentem z r. 744. Najstarszy manuskrypt, traktujący o życiu św. Huberta, pisany jest w IX wieku przez Valenciennesa. Według tego powieściopisarza ogłoszenie św. Huberta patronem łowiectwa stoi w ścisłym związku z renowacją opactwa Andagium i ogłoszeniem św. Huberta nowym patronem tegoż klasztoru, przez co zmniejszono i z biegiem czasu wyparto zupełnie cześć oddawaną pogańskiej bogini łowiectwa Dianie Ardeńskiej. Mnisi bowiem w średniowieczu nie tylko zajmowali się jałmużną i kontemplacją — polowali również i znane były ich psy gończe pod nazwą *Chiens noirs anciens d'abbaye Saint Hubert en Ardenne*.

W dzień 3 listopada (rocznicę śmierci św. Huberta) odprowadzano, przed wyruszeniem na łowy, specjalną mszę „psią“ tzw. *missa canum*, w której również psy brały udział. Zwyczaj tej *missa canum* wprowadzono prawdopodobnie dla kontynuowania zwyczaju Gallów, którzy dzień Diany Ardeńskiej uroczystości obchodzili polowaniem i ofiarą.

W poprzednim numerze „Myśliwego“ wspomina p. Józef Ziółkowski o tym, że prymat w patronowaniu łowiectwu przysługuje „z wieku“ św. Eustachemu. Wywody autora są poniekąd słuszne.

Okolo 500 lat przed św. Hubertem podobne nawrócenie miało miejsce u niejakiego Placidusa, zwanym po ochrzczeniu Eustachiuszem.

Autor „*Vita St. Huberti*“ w *Acta Sanctorum* przypuszcza, że pomyłki pomiędzy św. Hubertem i Eustachym musiały często zachodzić, tym więcej, że początkowo obchodzono w dniu 3 listopada uroczystości ku czci św. Huberta i Eustachego. Później dopiero przeniesiono uroczystość św. Eustachego na 20 września.

W literaturze i malarstwie nieomal zawsze mylono św. Huberta ze św. Eustachym i odwrotnie. Najciekawszym pod tym względem jest miedzioryt Dürera z r. 1504, przedstawiający myśliwego kłęczącego przed jeleniem. Mistrz sam nazwał miedzioryt ten „*St. Eustachius*“, jak pisze w swoim dzienniku z 1520 r. Po śmierci Dürera zmieniono przez pomyłkę nazwę miedziorytu na „*St. Hubert*“.

W r. 1649 pojawiła się książka pt. „*Les particularites de la chasse royale faite par sa Majesté le jour du St. Hubert et St. Eustache, patrons des chasseurs*“, a autor niemiecki Doebel pisze: „... Św. Hubert, który przedtem nazywał się Eustachy“. Tak samo też pisze Le Verrier w „*Ecole de la chasse*“.

Przypuszczalnie przypadek wysunął św. Huberta na czoło patronów myśliwych — i tak przeszła ta pomyłka w zwyczaj i tradycję, które dziś zmienić trudno.

Dziś pamiątki kultu św. Huberta, rozrzucone po całym kontynencie, szczególnie liczne są w Polsce, gdzie istnieje szereg kościołów, kaplic, ołtarzy itp. pamiątek, postawionych na cześć tego Świętego. Kościoły w Chełmży, Papowie Biskupim, Chełmnie, Brodnicy, Grucznie, Topolnie, Redgoszczy i w wielu innych miejscowościach, posiadają bądź to kapliczki bądź też ołtarze pod wezwaniem św. Huberta. Imitację tzw. łaskawego klucza św. Huberta posiadał do r. 1806 skarbiec katedry w Chełmży. Obecnie niestety o cudownym kluczu św. Huberta nie ma żadnej wiadomości i wszelki ślad po nim zaginął.

Również i w nowszych czasach kult św. Huberta kwitnie w Polsce.

Rok rocznie w dzień 3 listopada Prezydent Rzeczypospolitej uroczystości obchodzi dzień ten w Spale, a uroczystości spalskie poprzedza msza w kaplicy parkowej przed ołtarzem św. Huberta. Coraz też częściej urządza się tradycyjne biegi myśliwskie i polowania par force z gończakami i beaglami.

Z nowszych mniej znanych obrazów, przedstawiających św. Huberta, wymienić należy fresk „Św. Hubert“, znajdujący się w sali rycerskiej Zamku Bierzgowskiego na Pomorzu (mal. prof. Jackowski), fresk we dworze płk. Donimirskiego w Nowym oraz stylowy drzeworyt Acedańskiego. Nowsze rzeźby, przedstawiające św. Huberta, spotykamy nad głównym wejściem do kościoła parafialnego w Helu, oraz na krzyżu św. Huberta w nadleśnictwie Klosnowo.

Widzimy więc, że kult św. Huberta nie ustał u nas, przetrwał czasy zaborcze i dziś w Polsce Niepodległej kroczy po torach dawnej świetności.

W dniu 3 listopada — Święta Patrona Łowiectwa — Świętemu Hubertowi — Cześć!

L. O.

Z OBIEKTYWEM NA ŁOPATACZA

Pierwsze nasze spotkanie było osobliwe.

Szmer jakiś doszedł mnie z zagajnika.

Zwarty gąszcz krył przed okiem sprawcę hałasu. Niewielka brzośka drżała od silnych uderzeń, kapiąc złotem ostatnich liści na stłoczone w okół świerki.

Stanąłem. Za mną szeroki pień sosny. Bronzowy ubiór myśliwski zlewał się znakomicie ze zrudziałą korą drzewną. Kapelusz wciśnięty na czoło, oczy przymrużone nie zdradzają się żadnym żywym błyskiem.

Trzask gałęzi. Czarny jakiś zwierz wypada na dukt w dziwnych, drgawkowych podskokach. Wydaje się, że sprężysty tułów ma odrobić to, do czego lenią się jakby zartretyzowane badyle. Smolista, o szarawym jakaś rozlewna ospałość. Stał zaledwie o kilka kroków — bezradny, zaskoczony spotkaniem. Nieznaczny ruch ręki w kierunku kamery fotograficznej wybawił go z zakłopotania.

Uskoczył w bok, poślizgnął się, jeszcze dwa gwałtowne susy, spieszne i nerwowe — i zapadły się za nim wiszary świerkowe.

Parsknąłem śmiechem — tyle w tej scenie było komizmu. Niejedno słyszałem o zastanawiającej ospałości daniela-łopatacza w okresie gonu, ale ta zabawna scenka przeszła moje oczekiwanie. Opanował mię żal, że nie udało się go chwycić na kliszę. Spotkanie to jednak wzmogło do tego stopnia pragnienie zdobycia dobrej, myśliwskiej kamery i gnębiło tak długo, dopóki jej nie zdobyłem.

Pierwsze próby z Leiką nie były łatwe. Zaczęło się od chwytania w obiektyw tokujących na kępie nadwiślańskiej gawronów, potem seria szyfowych podchodów rogaczy na bagnach Bocienia, uchwyconych z całą precyzją na nie odwijającą się przez nieznaną aparatury taśmę, w końcu pierwsze dobre zdjęcie klucza dzikich łabędzi.

I znów znalazłem się w znanym łowisku p. R. K. Kilkadziesiąt kilometrów nie najlepszej drogi rowerem. Gnała mię pasja zdobycia rzeczywiście dobrych zdjęć.

Stanowisko dobre. Kilka starych pniaków, ułożonych w kształcie sążnia, dawało w pustym jego wnętrzu dobre ukrycie. Wiatr pomyślny. Chylące się za plecami ku zachodowi słońce dawało wymarzone oświetlenie. Po seradeli kicały pojedyncze szaraki, urządzając od czasu do czasu w wiadomym sobie tylko celu fałszywe alarmy. Tu i ówdzie z naprzeciw stanowiska położonego zagajnika wysunęła się sarna, cała pochłonięta troską o karmiące matczyną dumę kozłeta. Niekiedy, zachowując wszelkie środki ostrożności, wysunął się rudy kształt kozła. Zmierzchało.

Nagle zaroilo się na pastelowo-zielonej płaszczyźnie. Pstrokata, ruchliwa czereda danieli wysypała się na skraj pola. Wietrzyły chwilę, odsadziły się wskos od lasu i poczęły szarpać soczystą zielenią.

Na zdjęcie za daleko. W szkłe lornetki jednak widać wyraźnie ruchliwe, biało nakrapiane, o kremowych podbrzuszach suknie starych danielic. Przy nich kręcą się smuklejsze nieco młódki, tu i tam pierwszym porożem pyszni się śpiczak. Od zielonego tła oddzielają się z dala jasne badyle i białe centki płowych sztuk.

Gromada rozbija się na poszczególne grupki. Zwierzęta poczynają na własną rękę szukać co smaczniejszych ziół. Żerują szybko, niespokojnie, co chwilę rzucając głową to w stronę zagaju, to w głąb pola. Poszukiwanie żeru odbywa się dość chaotycznie. Jedna z łanek pasie się dość blisko. Bez powodu podrywa się i odskakuje na kilka czy kilkanaście kroków, z nagłą zaryje raciczkami w ziemię, niespodziewanym tupnięciem zająca zestraszoną skacze w bok sprężynowym rzutem całego korpusu, po czym upewniwszy się, że nie mniej przerażony szarak jej nie zagraża, wraca pospiesznie do poszukiwań smakowitych ziół.

Zwolna, uważnie śledząc zachowanie się biesiadującej, niepoważnej czeredy, w pewnym oddaleniu od chmary, wysuwa spod okapu świerkowego czarny trójkąt lba, łopatacz. Jeszcze nie jest pewny bezpieczeństwa. Jeszcze strojna w szeroko rozłożone strzępy łopat głowa, to odwraca się ku zagajowi, to ku zaroślom, gdzie błyszczy niedawno ułożony sążeń, to ku dalekim wzgórzom, skąd dochodzą odgłosy wieczornych gospodarskich robót. Unosi głowę, kładzie po sobie poroże, a czule, wilgotne nozdrza wciągają chciwie wiatr. Wysunął się wpół z gąszczu. Jeszcze przystaje, jeszcze wciąż cała postawa wskazuje, że lada podejrżany szmer, a błyskawicznie skoczy w zbawczy cień.

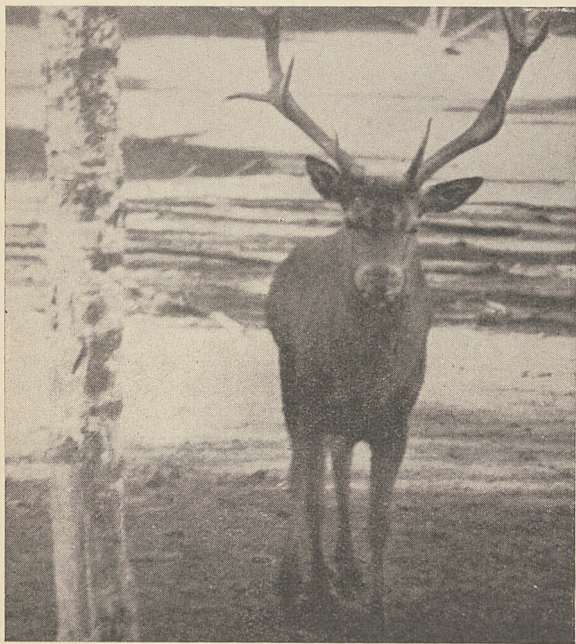
Od wzgórz napływa zwolna szeroką falą mrok. Coraz więcej ruchliwych płam zwierzyny odrywa się od gąszczu. Gdzieś w konarach niewidzialna zajęczała sowa. Wilgotny ziań ciągnie z dalekich, zalewających się mgłą łąk. Westchnienie towarzyszy ruchom ręki, kryjącej obiektyw w futerał. Na dziś za późno...

* * *

Słońce go rozmarzyło. Był to przecież okres krasy. Syty, rozleniwiony wylegiwał się niedbale pod zwisającym okapem świerczyny, bynajmniej nie poszukując cienia. Szeroka smuga wrześnieowego słońca grzała mu bok i część grzbietu. Drzemał, to podnosząc, to leniwie opuszczając głowę, jakby mu dłoniaste płaszczyzny łopat były za ciężkie. Nagle uniósł głowę. Czule jego słuch złowił coś, czego ucho czowieka, zgielkiem wielkomiejskim stępione, nie zdołało pochwycić.

Jakiś zwierz nadchodzi. Głowa, nieruchomo zwrócona w głąb brzożowej drągowiny, śledziła za czymś bystro. W oddali zamajaczył ruchomy, brą-

zowo - rudy kształt. Łania-licówka. Przystanęła. Chuda, wysoka, o stromym grzbiecie, zapadłych bokach i wytartej sierści — typowa stara łania. Wyciągnęła długą szyję. Wielkie, szerokie łyżki nastawione pod wiatr. Ruchliwe nozdrza badają powie-



Fot. J. A. Wysocki

...Idzie, w takt kroków chwiejąc ciężkim wieńcem

trze. Oczy rozumne, duże, myślące, starają się przeniknąć leśną głębię. Cicho szczękneła migawka. Zbyt cicho, by ją posłyszał ostrożny zwierzę. Stawiając ostrożnie badył za badyłem, prawie niesłyszalnie, przechodzi łania wolnym krokiem między pniami brzoź. Teraz przecina niewielką polankę. Otwarta przestrzeń zawsze w jej myśli kojarzy się z pojęciem niebezpieczeństwa. A od jej przezorności zależy zdrowie, a może życie starego dwunastaka, którego czuła opieka łani uczyniła mniej przestronnym — zwłaszcza w okresie godowym.

Już nadchodzi. Oznajmia to trzask gałązek, trącanych rozłożystym orężem. Emocja podchodzi pod gardło. Nerwowy obrót taśmy. Krótki rzut oka na wskaźniki aparatu. Kamera gotowa, 50 metrów — 30, — 20, 15 metrów... jeszcze kawałek. Gdy zbliży się do tej brzozy... teraz! Byk, nic nie przeczuwając, sunie równym, cichym ruchem badyli. Ledwie zaszeleści trącony liść, ledwie zachrząści pod ciężarem tego cielska leśny ko-bierzec. Idzie, w takt kroków chwiejąc ciężkim wieńcem. Widać świetnie grube, operlone tyki, zakończone dużą koroną. Ocznice długie, grube, bogato operlone. Siwa głowa, osadzona na grubym, grzywiastym karku, zdradza starszego pana. Wzrok zły i niecierpliwy. Grzywa i cała suknia zlepiona oślizgłym, wyschłym błotem. Starszy pan chłodził się widocznie niedawno w błotnej kąpieli.

Łopatacz popatrzył za nim niechętnie. Obudzony z drzemki wstał, wyprężył się i — niezawodnie dokuczyło mu swędzenie, spowodowane gromadą

pasożytnych insektów, które jako teren działania wybrały łojem porosły comber. Wygiął się więc w bok i ostrogą łopaty począł drapać się po grzbiecie. W tej chwili uderzyła mię zadziwiająca celowość tego szczegółu oręża, z którego praktyczny łopatacz potrafił doskonale korzystać. I znów w stosownym momencie obiektyw wydarł przyrodzie jedną tajemnicę. Tym razem przyznać trzeba natury ściśle praktycznej.

Teraz już wiemy, dlaczego fabrykanci mebli ze zrzutów jeleni i danieli robią z łopat oparcie w fotelu...

* * *

Zimny październikowy wiatr szarpał złośliwie strzępy liści, niedobitków lata, kureczowo czepiających się drżących gałązek. Niekiedy słońce sygnęło jeszcze resztką złota na leśny dukt. Był to jednak raczej gest zbankrutowanego bogacza.

I kiedy coraz chłodniejsze ranki poczęły żegnać okres ciepłej jesieni, dziwny niepokój opanował chmarki ruchliwych danieli. Stroniące od chmar danielic tegie łopatacze poczęły wykazywać widoczne zainteresowanie dla wzgardzonej przedtem płci pięknej.

Nasz czarny łopatacz coraz częściej stawał za-myślony w drągowinie czy na dukcie nawet, co było niezgodne z jego dawną taktyką, nacechowaną przesadną ostrożnością i, wyciągając szyję, niespokojnymi nozdrzami wciągał z lubością zapach charakterystyczny przebywających w pobliżu łanek danielich. Coraz częściej interesował go ich trop, aż wreszcie z wezbranych tęsknotą piersi wydobył się stłumiony, namiętny charkot. Powtórzyły go inne łopatacze.

A potem zaczął się niespokojny okres gonitwy, zazdrości i walki o pierwszeństwo. Bo żyjącym w dzikiej kniei łopataczom — zwłaszcza tam, gdzie ich jest mnóstwo — nie obce są uczucia, które je-



Fot. J. A. Wysocki

...ostrogą łopaty począł drapać się po grzbiecie

lenia w okresie rykowiska zmuszają do staczania walk na śmierć i życie. Z całą furją potrafi robić użytek z ostrych sierpów ocznic, zmusić do ucieczki na łeb na szyję pokonanego przez siebie rywala. W tym okresie zapomina o środkach ostrożności. Niebaczny na grożące mu niebezpieczeństwo, pędzi w miłosnej gonitwie po zagajnikach. Bo urzekł go urok ciemnych ócz smukłej danielicy, w których głębi wyczytał obietnicę miłosnej rozkoszy. W ciemnych labiryntach zagajników i drągowinach, ostojach danieli, o wschodzie i zachodzie słońca, a często także w samo południe, słysząc odgłosy gonu: namiętne, monotonne, przez krtań i nozdrza wydawane chrapania, odgłosy gonu dyszących od

pragnienia i pędu łopataczy, ścigających łanie, a nie- rzadko głuche odgłosy zderzających się łopat.

Idzie gon poprzez mroczne zagajenia. Czasem oślepiiony w zapalczywości łopatacz pędzi daleko rywala, czasem wypadnie za nim nieopatrznie na haliznę i widząc trwogę prześladowanego, zaniecha pościgu, a ze zmęczonej gardzieli uderza w knięję mocny charkot, w którym drży radość zwycięstwa. A potem zwycięski rycerz podchodzi zwolna ku łani po zasłużoną nagrodę.

Spoczywa w futerale wścibski obiektyw. Tylko jesienny wiatr niesie po zwarzonych chłodem listkach opowieść o odwiecznych prawach przyrody.

Józef A. Wysocki

PRZYCZYNEK DO BADAŃ NAD POWSTANIEM PAROSTKÓW KORKOCIĄGOWYCH

Do jednego z bardzo ciekawych zjawisk z dziedziny budowy poroża u sarn należą tzw. parostki „korkociągowe“, noszące nazwę tę dlatego, że tyki ich są skręcone, tworząc formę zbliżoną do korkociągu. W każdej większej kolekcji parostków sarnich znajduje się zazwyczaj jeden lub więcej takich okazów, twierdzić więc można, że objaw ten nie jest sporadycznym.

Nad kwestią parostków korkociągowych — nazwijmy je w dalszym ciągu niniejszej pracy „korkociągami“ — przechodzi Krawczyński w „Łowiectwie“ zupełnie do porządku dziennego. Nawet Raesfeldt, niewątpliwie autorytet łowiecki o sławie europejskiej, nie zupełnie dokładnie wyjaśnia w dziele swoim pt. „Sarny“ (das Reh-wild) kwestię powstania korkociągów, oddając głos myśliwym, którzy swe obserwacje opublikowali w czasopismach fachowych. M. i. cytuje Raesfeldt (str. 260) dra Schaefera, który twierdzi, że parostki korkociągowe są anormalnością, powstałą na skutek nieregularnego wygięcia się będących w rozroście tyk, spowodowanego kurczeniem się kostniny, oraz niedostateczną ilością soli wapiennych przy nagle powstałej przeszkodzie w infiltracji krwi oraz w asymilacji uformowanych części plastycznych. Podczas omawiania wyżej kurczenia się zachowują tyki swe cechy pierwotne np. śpiczaka, widłaka lub szóstaka, wykazując przy tym tzw. formę korkociągową. Dr Schaefer proponuje zamiast nazwy „parostki korkociągowe“ (po niem. Korkenziehergehörn), nazwę „parostki rachityczne“, analogicznie, do choroby kości, występującej u ludzi i zwierząt pod nazwą krzywica (rachitis) lub angielska choroba, która powoduje chorobę kości, objawiającą się w wykrzywieniu nóg, rąk, żeber itp. anormalnościach kośćca.

Olt i Stroese w dziele pt. „Choroby zwierzyny łownej oraz ich zwalczanie“ wnioskuje, że wszelkie korkociągi są powodowane zapaleniem okostnej (periostitis).

W nrze 44/35 czasopisma „Wild u. Hund“, dr med. vet. Kerschagl z Wiednia, omawiając kwestię parostków korkociągowych, twierdzi, że jedynym powodem ich powstania jest szkodliwe działanie trucizny tzw. toksyny, wywołane występowaniem tasiemców oraz nicieni, pasożytujących u kozłów tych w jelitach i płucach. Moim zdaniem, pasożyty wyżej wymienione mogą być wprawdzie przyczyną powstania korkociągów, jednakże nigdy przyczyną jedyną i bezpośrednią, lecz pośrednią, gdyż nadmiar tych pasożytów u kozłów powoduje ogromne ich osłabienie, tworząc tym samym doskonałe i podatne podłoże dla rozwoju krzywicy, zmiękczenia kości itp. niedomagań, w następstwie czego mogą powstać parostki korkociągowe.

Najobszerniej ze wszystkich myśliwych zajmuje się kwestią parostków korkociągowych nadleśniczy Funk, który starając się wyświecić przyczyny powstawania tych anomalii postawia następujące hipotezy:

1. Korkociągowe skręcenie poroża jest objawem przejściowym.

2. Dziedziczność skręconych poroży jest więcej jak wątpliwa, a zatem odstrzał rogaczy o parostkach korkociągowych — jako nie nadających się do dalszej hodowli — jest niepotrzebnym i fałszywym.

3. Powodem powstania jest infekcyjne zapalenie okostnej.

Co do punktu pierwszego i drugiego powyższych twierdzeń, to bez większej dyskusji oraz zastrzeżeń należałoby mu przyznać rację. Natomiast punkt trzeci wymaga pewnego sprostowania, gdyż twierdzenie, że najczęstszym powodem skręcenia parostków jest infekcyjne zapalenie okostnej, wymaga wyjaśnienia.

Uprzytomnijmy sobie, w jaki sposób powstaje poroże u sarn-kozłów. Rozrost parostków zależy jest od naskórka, leżącego nad kością czołową. W naskórku tym spoczywa energia życiowa, regulowana przez wewnętrzne wydzieliny jąder.

Wyrastające w scypule tyki są początkowo miękkie i podobne do chrząstek, nie składają się

jednakże z chrząstki, lecz z wielokomórkowych tkanek kostnotwórczych, które później dopiero, pod wpływem soli wapiennych doprowadzonych z krwią, twardnieją i kostnieją. Decydujący wpływ na taki stosunkowo krótkotrwały proces twórczy, wymagający znacznego napływu krwi do miejsca rozrastania, może mieć stan zdrowia danego osobnika; tym samym więc istnieje wiele możliwości przerwania dopływu tych koniecznych elementów twórczych do miejsca ich przeznaczenia.

Skoro teraz zajdzie wypadek, że substancje potrzebne do dalszego rozwoju tkanki kostnotwórczej, na rozrost których wpływają jedynie hormony jądrowe, znajdują się w dostatecznej ilości, nie nastąpi natomiast dostateczna infiltracja soli wapiennych potrzebnych dla umocnienia i stwardnienia nowego porożenia, które niezależnie zupełnie od hormonów wytwarza się jedynie pod wpływem zwiększonego dopływu krwi, wówczas następstwem braku tej infiltracji będzie zgięcie się tyk w kierunku punktu ciężkości. Zgięcie to zostaje później ustalone (proces skostnienia) przez dodatkową (spóźnioną) infiltrację soli wapiennych.

A zatem przyczyną powstania parostków korkociągowych — będzie czasowo naruszone współdziałanie pomiędzy rozrostem tkanek a ich ustaleniem (skostnieniem). To spóźnione skostnienie parostków, powodowane niedostateczną infiltracją soli wapiennych, może mieć wielorakie przyczyny. Jedną z nich to brak soli wapiennych w paszy i to nie tylko w paszy potrzebnej sarnom w czasie rozrostu ich porożenia (grudzień — kwiecień), lecz również już i przedtem w paszy potrzebnej dla tworzenia zapasów pokarmowych.

Dla rozwoju i tworzenia się parostków obecność dostatecznych zapasów (rezerw) pokarmowych jest konieczną z uwagi na brak wystarczającej ilości paszy właśnie w czasie tworzenia się i rozwoju parostków (zima). Wspomniane wyżej rezerwy pokarmowe bywają nagromadzone w różnych częściach ciała, by w razie potrzeby mogły w każdej chwili dostać się z prądami krwi do miejsca ich przeznaczenia. Skoro teraz zapasy te zostały już zużyte, względnie ich w ogóle nie było, natenczas substancja korpusu może zostać naruszona czyli nastąpi proces, który nazywamy zmiękczeniem kości, powodujące znane rachityczne zmiany form kości. Może się zdarzyć, że w korpusie znajdują się zarówno dostateczne ilości zapasów pokarmowych, jak również zawarte są w spasanej przez samy paszy potrzebne dla skostnienia poroży sole wapienne, brak natomiast koniecznych dla uruchomienia zapasów pokarmowych oraz soli wapiennych witamin, które pojawiają się dopiero później w miarę rozwoju wegetacji. Opisanym co dopiero objawem tłumaczyć sobie należy, że często bardzo kozły, posiadające parostki korkociągowe, są w dobrej kondycji. U kozłów tych korpus z powodu braku życianów (witaminów) nie był w stanie dostarczyć substancyj, potrzebnych do tworzenia parostków, albo w prawidłowym stosunku albo w odpowiednim czasie. Korpus sam nie stracił zatem żadnych substancyj, tak, że objawy krzywicy

uszkodziły przejściowo tylko jedną część ciała, a mianowicie będące w rozroście porożenie. Dla całości organizmu natomiast proces ten z powodu krótkotrwałego wpływu żadnych ujemnych nie wywiera skutków.

Znany myśliwy niemiecki Schloffeldt w wywodach swoich, opublikowanych w tomie VIII „Wild und Hund“ twierdzi m. i., że cechy korkociągów są dziedziczne. Hipotezę swoją stara się udowodnić fotografiami 2 ubitych przez siebie w tym samym łowisku rogaczy-korkociągów (ojca i syna), z których ojciec posiadał parostki korkociągowe obustronnie skręcone (obie tyki), syn natomiast parostki korkociągowe tylko jednostronne (jedna tyka).

Autor nadmienia, że rogacz o jednej tylko skręconej tyce miał jądra, wielkości pestki wiśni, oraz anormalnie mały pędzel. Do wywodów tych należy zaznaczyć, że pojawienie się rogacza o jednej tylko skręconej tyce, posiadającego przy tym anormalne genitalia, może być dowodem, że skręty tyki nie były w danym wypadku powodowane dziedzicznością, gdyż dla parostków korkociągowych znamienne jest zawsze skręcenie obu tyk. Natomiast, gdzie pojawia się skręt jednej tylko tyki, tam powodem tego są inne przyczyny, czy to strzał śrutowy w czaszkę lub poroże, czy też niedorozwój genitalii, jak to miało miejsce w co dopiero opisanym wypadku.

Niektórzy myśliwi twierdzą, że objawy parostków korkociągowych muszą być dziedziczne i to dla tego właśnie, że widuje się co roku rogacze o parostkach korkociągowych tylko w pewnych, ściśle określonych częściach łowisk (najczęściej polnych).

Myśliwym tym należy odpowiedzieć, że przyczyną pojawienia się rogaczy-korkociągów tylko w pewnych określonych częściach łowisk, są specyficzne właściwości danego łowiska oraz brak w łowisku paszy, zawierającej życiany (w czasie tworzenia się i rozrostu porożenia — grudzień do kwietnia).

Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że wszystkie znane mi parostki korkociągowe (21 sztuk), pochodzą albo z łowisk polnych albo z bagnistych partii leśnych (bagien wyżynnych), w których pokrywa jest zazwyczaj wszędzie ta sama, a zatem i pokarm w tych bagnach będzie wszędzie identyczny (płonnik, pijanica, zórawina, bagno, welnianka, trzęślica itp. rośliny).

Widzimy więc, że istnieje pewien ścisły związek pomiędzy pokarmem a pojawieniem się w pewnych ściśle określonych łowiskach rogaczy o parostkach korkociągowych. Przy sposobności należy jeszcze krótko wspomnieć o innym typie parostków, pojawiającym się u rogaczy, które mają swą ostoję wyłącznie na bagnach i torfowiskach. Są to rogacze o parostkach tzw. „bagiennych“ (po niem. Moorbock — określenia w polskiej literaturze łowieckiej nie znalazłem), różniące się od parostków normalnych tym, że są porowate i o tępych, niebłyszczących się końcach. Powodem powstania tych poroży jest brak soli wapiennych oraz fosforowych w paszy, rosnącej na bagnach.

Hardenberg obserwował liczniejsze pojawienie się parostków korkociągowych u rogaczy z łowisk polnych, gdzie uprawia się większe ilości ziemniaków, oraz gdzie sarny spasają dużo łat ziemniaczanych. Łęty te zawierają truciznę tzw. saloninę, która spożyta w większych ilościach ma być powodem powstania parostków korkociągowych. Związek pomiędzy spasaniami łat oraz tworzeniem się korkociągów, aczkolwiek może nie pozbawiony podstaw, jednak jest wątpliwym, zważywszy, że łat ziemni-

czane bywają spasane jesienią (wrzesień), a nowe poroże tworzy się począwszy od grudnia. Wątpliwym również wydaje się, by solanina zostawała tak długo w ciele sarn i zachowywała przez cały ten czas swe trujące własności.

Jak więc widzimy, cechy parostków korkociągowych nie są dziedziczne, a tym samym nie należałoby zasadniczo zaliczać kozłów o parostkach korkociągowych do tzw. „rogaczy selekcyjnych“.

Dr inż. Leon Ossowski

POSTRZAŁEK

(Dokończenie z nr 1)

Dziwne uczucia nimi wtedy zawładnęły. Bracia poczęli teraz jakoś całkiem inaczej spoglądać na swe siostrzyczki. Oni również skromności pełne, szczególniejszym sentymentem wiedzione, jęły lgnąć do niektórych z nich całym, tęsknotą wezbranym sercem. Już nie chodziły razem, jak dotąd, ale zawsze po dwoje, jakby tajemnie zmówione.

Gdzieś niedaleko za małym wzgórzem posłyzały pokrewne głosy i jakoby nawoływania, więc odwiecznym instynktem wiedzione, pofrunęły do sąsiadów w odwiedzinę. Usiadły naprzeciw siebie dwa stadka, zbliżyły się ku sobie powoli, ćwierkając przy tym wesoło, biegając rąco i podskakując wysoko. Przyglądały się też sobie wzajem długo i dokładnie. Chwila ciszy... Naraz z naszego gniazda poderwał się on pierwszy, najstarszy z rodzeństwa i przewodnik dotychczasowy.

Przeleciał z głośnym wabieniem nad sąsiednią rodziną. Nie zawiodła go słodka nadzieja... Bo oto zaraz odrywa się z ziemi z drugiej grupki dorodna samiczka i mknie za nim z impetem. Para podążyła daleko, na łączkę wśród zarośli, za nią — druga, trzecia i następne, a każda w inną stronę.

Takie to były ich zaręczyny i śluby zarazem. Z jednej i drugiej gromadki pozostało tylko kilka mniej śmiałych kogutków, które się spóźniły z podlotem i dla których narzeczonych już zabrakło. Zato przeżyją dość długo w kawalerskim stanie, albo też może w innej stronie świata znajdą jeszcze towarzyszek.

Za kilka dni zaczną urządzać dalsze wyprawy i zwiady i staczać zaciekle pojedynki z innymi samczykami, by im odbijać wybrane żony. Będą to jednak trudy daremne!... Za zawód życiowy pomśczą się w inny sposób...

* * *

Nasz kogut zerwał łączność z rodziną na długo, a może na zawsze. Miał bowiem swoją!... Ucieszony niezmiernie posiadana, młodą żoną, poczał jej bardzo nadszpeciwać. A więc obiegał ją dokoła, opuszczał jedno lub drugie skrzydełko, trąc je o nóżki, rozszerzał w wachlarz swój rudy ogonek, wspiął się na biegach wysoko i szeptał jej coś wprost do uszka przymilnie.

Jeśli zaś znalazł robaczkę lub poczwarkę, zaraz ją przywoływał i dzielił się z nią uczciwie każdym kąskiem, albo odstępował jej wszystko, zadowolony, że ma apetyt. Umizgi przyjmowała kurka z ra-

dością, a przysiadłszy na ziemi, dozwalała jako uległa małżonka na spełnienie aktu miłości przy swoim cichym, zadowolonym kwokaniu.

Wiosna była ciepła i sucha. W połowie maja wyszukała kura pod gęstym krzakiem tarniny dobrane zakryte miejsce na gniazdo. Było nim niewielkie zagłębienie, wydeptane końskim kopytem. Uprzątnęła je zaraz, wyścieliła miękką, suchą trawą i własnym, spod piersi wyszarpanym, pierzem. Nie pomna, że może dołek zalać woda po dłuższej ulewie, poczęła w nim składać codziennie po jednym, brudno zielonym jajku. Zajęła się nimi pieczołowicie, przekładając je często, mieszając i spychając ku środkowi gniazda, gdzie było najcieplej i próbując nakryć wreszcie wszystkie swym małym ciałem. Gdy zniosła ostatnie już jajko, zasiadła twardo. Czuły małżonek pomagał chętnie swej koscie w tym trudnym zadaniu, wyręczając ją, gdy schodziła na chwilę, by się pożywić, lub wysiadując z nią razem. Trwało to całe trzy tygodnie. Wykływały się młode jedno po drugim, najpierw z tych jajek, które były lepiej ogrzane, a więc ze środka. Matka wyrzucała skorupki, a malenstwa, wyglądające, jak pstre kuleczki, brała ostrożnie pod siebie, by je osuszyć i ogrzać. W trzech dniach wylęgły się wszystkie.

Ojciec chuchał na dzieci, tulił do siebie i wyszukiwał jadło. Szło to trudno, bo pisklęta są delikatne i cośkolwiek niestrawnego bardzo im szkodzi.

Wywiązywał się jednak dobrze ze swego zadania i cieszył się ich zdrowiem. W czasie deszczu chował się drobiazg pod skrzydła matki, która się stała teraz pełną poświęcenia wychowawczynią. Nic tak nie dolega młodziutkim kuropatewkom, jak wilgoć, zamoczenie i przeziębienie. To też każda zbliżająca się burza napępiała rodziców największym strachem.

Kogut objął straż. Czuwał nad rodziną w dzień i w nocy, stojąc zwykle na jednej nodze to tu, to tam, a blisko. Niepokoił się za lada szelestem, wybiegał na wynioślejsze punkty, patrzył i obserwował. Gdy coś niebezpiecznego zauważył, dawał sygnał ostrzegawczy, na który młodzież przywierała do ziemi i przez dłuższą chwilę ani się ruszyła, aż do nowego znaku, na który wstawiała. Żaden wróg czworonożny ani skrzydlaty nie mógł się zbliżyć niedostrzeżony. Podkradającą się wronę odpędzali rodzice wspólnymi siłami...

Pies budził zawsze grozę. Na jego widok zrywał się ojciec pierwszy, biegł obok psa po ziemi i na swój sposób go oszukiwał. Niekiedy stawiał mu się hardo, napuszony i zły, jakby z nim walczyć zamierzał. Kundys głupiał, gonił za nim i odbiegał od stadka, które tymczasem matka uprowadzała. Gorzej bywało z kotem, bo to rabuś uparty, cierpliwy i nie tak łatwo znieść się daje. Ale i z takich opresyj wychodziły kurki bez szwanku. Jeszcze większy postrach siał wśród nich rudy lis, z którym na szczęście jedno tylko było spotkanie i bez uszczerbku wyszła zeń zagrożona rodzina. Czegoś się mykita przestraszył i zwał do lasu.

Nadszedł znów feralny wrzesień, a z nim polowania — jakże namiętne i okrutne, noszące na sobie wszelkie cechy prześladowania! Bezbronne kuropatwy, tak ze wszechmiar pożyteczne, mogące swym ludzkim wrogom przeciwstawić tylko przyrodzony instynkt samozachowawczy i rącość skrzydeł, składały obfitą daninę...

I nasze stadko nie ominęła zła dola. Wyśledzone przez legawca i zmuszone do ucieczki, porwało się z furkotem i cichym ćwierkaniem, by się nie pogubić. Zagrmiał wystrzał, wymierzony przez łakomego strzelca w kupę i stracił aż pięć sztuk naraz, a wśród nich i ojca — opiekuna, ranionego rykoszetem w koniec skrzydła! Spadł i zaczął uciekać, uchodząc szczęśliwie psu i jego panu, zajęte-

mu wyszukiwaniem zabitych młodek. Gdy prześladowca podążył dalej za rozbitym gniazdem, mógł się ranny uważać za ocalonego. Pozbawiony jednak władzy w skrzydle, nie mógł wzlatywać i szukał ratunku w ręczym tylko biegu i w umiejętności ukrywania się wśród zarośli. Wyszło mu to na dobre. Odtąd wierzył już i ufał słuchowi. Za każdym szmerem, gdy stwierdził skąd pochodzi, umykał na nogach, ile mu sił starczyło, w przeciwną stronę, krył się pod skibami, pod miedzami, w krzakach, a najchętniej w końskim zębie, który rósł gęsto opodal i z którego byłby się wyprzeć nie pozwolił, nawet przez psa.

Rodzina jego, srodze przetrzebiona i osierociona zupełnie, jakby się go wyrzekła... Zajęta troską o siebie, zubożętniała dla kaleki. Zerwał z nią zresztą wszelkie stosunki i pozostał sam, zdany tylko na siebie. Przesiadywał całymi dniami ledwo żywy albo pod skibą, lub pod nawisłą przy miedzy trawą. Żonę dawno stracił; ona jedna zostałaby przy nim z pewnością i dzieliła z nim jego niedolę.

Dobrą wróżbą było, iż ani psów, ani kotów nie widywał od dłuższego już czasu, ani jastrzębi... Wytępił je myśliwi!... Raz tylko biedny postrzałek najadł się wielkiego strachu, gdy siedząc w poludnie pod miedzą, zauważył nad sobą wysoko szybującego sokoła. Groźny ptak płynął gdzieś w obranym kierunku, a z ziemi patrzyły nań biedne, prze-

NOKTURN

(Z RYKOWISKA)

Z ciemnozielonych, tajemniczych zagajników sosnowych wypelzał mrok i z niedosłyszalnym paroksyzmem zwycięstwa nad dniem okrywał, gasnący po pożodze zachodu las. Huk motoru młocarni, pracującej jeszcze na ściernisku, wpadał płaskim, metalicznym dźwiękiem w przedwieczorną ciszę i rozrywał ją przenikliwym dysonansem. Ale praca całodzienna dobiegała już końca. Wkrótce rytmiczne, jednostajne zgrzyty trudu umilkły i zginęły bez echa. Żaden obcy ton nie mącił już zlewających się w harmonijną całość dźwięków przyrody.

W złocistych liściach brzoź wiatr nucił cichutką melodię, jakby się ślizgał po strunach harfy Eola, a gdzieś z nad lasu doleciały pierwsze akordy jesiennego nokturnu.

Mollowym łkaniem tęsknoty za ciepłem słońca, za świeżymi barwami pól i kwiatów, za szczęściem dni, pełnych rozhovorów życia, zajęczał w dali klangor żurawi i bolesnym echem odbił się w mej duszy.

Pomiędzy pierwszymi gwiazdami przeciągłym, synkopowym wołaniem porozumiewały się klucze gęsi, ciągnących na ciepłe wody.

Niestrudzony muzykant — drozd, zbudzony z drzemki półtonowym pasażem, rzucił jeszcze raz krótkie „dobranoc“.

Chwila ciszy. Zdaje się, że słyszeć by można syczenie spadających meteorów.

Nagle, niby spłoszone widmo zaszeptał przede mną lelek i uderzeniem skrzydeł, jak dźwiękiem

kastanietów poddawał żywszy rytm leśnym trąbaczom. Z duszy uleciała zaduma i smutek, serce zaczęło bić szybciej, jakby przeczuwało, że w muzyce jesieni obok żalu za pełnym blasków latem, drgają także akordy radości i szczęścia.

Akordy takie przyniósł mi wiatr od strony gąszczy, w których już rozpoczął swą pieśń pierwszy solista leśnego zespołu. Całą gamą tonów, od najniższych basów aż po wysokie skale tenorowe, zabrzmiało wyzwanie króla puszczy — jelenia do gotowych na walkę rywali. Zakończył je krótkim staccato, które w łagodnym decrescendo pomknęło po rosach. Wyzwanie to podchwyciły inne jelenie, i zagrmiała cała knieja różnorodnymi solami i duetami, zbliżających się do siebie na turniej rycerzy leśnych. A z daleka od nich dawała znać o sobie dyskantowymi, nieśmiałyymi głosami młodzię, która także pragnęłaby uczestniczyć w godach życia.

Poważne adagio potentatów przygłuszało jednak inne głosy, a w miarę podchodzenia jeleni ku sobie, zmieniało się w coraz żywsze allegro krótkich, rzucanych jak grzmot, pojedynczych tonów, którym od czasu do czasu akompaniowało uderzanie wieńców w walce.

Po niej potężnym akordem durowym rozdzwoniły się fanfary zwycięstwa, a potem... z mgłami popłynęło w najdalsze zakątki kniei rozkoszne dolce...

* * *

W ostatnie dźwięki miłosnej pieśni, wtargnął nieoczekiwanie chichot sowy, jak memento przeznaczenia, na którego drodze czycha śmierć.

Jadwiga Holzerówna (Lwów)

rażone oczy, osadzone w zdrętwiałej głowce, by żadnym jej ruchem nie zdradzić swej obecności.

Rana wkrótce się zgoiła i postrzałek żył przecie jakoś. Śniegu tej zimy nie było. Zato mróz dokuczał mocno.

Pewnego dnia urządzili ludzie polowanie na zające. Miłe koguta kamraty — te szaraki; nie tylko go w niczym nigdy nie skrzywdzą, ale jeszcze o niebezpieczeństwie ostrzegą. Wiedział nasz postrzałek, że jeśli się nagle rozbiegną i uciekać poczną, grozi i jemu coś złego.

Teraz widział ze swego ukrycia pod skibą ludzi już całkiem blisko, słyszał gęste strzały i patrzył z żalem na koziółkujące zające.

Przeczuwał, że i dla niego nie ma ratunku, ale trwał w swym schronieniu, bojąc się nawet oddychać.

Naraz czyjaś brutalna stopa wstępuje na niego. Nie wiele brakowało, by go zupełnie rozdeptała. Wrywa się spod niej, zostawia część ogona i ucieka pieszo, pomagając sobie skrzydłami. Zrobił się hałas i tumult wielki.

Zbiegli się naganiacze i nuże gonić za okaleczalym ptakiem. Umykał zrazu szybko, ale się wnet zmęczył. Dogonili go w końcu i ujęli. . . Serce mało mu z piersi nie wyskoczyło, omdlewał ze strachu! . . .

Z rąk się jednak nie wydierał, zobojętniały na wszystko, co się teraz stać miało. . . Żał mu się tylko zrobiło młodego życia, od którego zaznał tak wiele złego, ale i którego uroków nieraz zakosztował. . .

Najgorsze przeczucia nie spełniły się tym razem; nie ukręcono mu karku, jako to zazwyczaj się dzieje. Łowczy zawyrokował, żeby mu darować życie i chować w domu do wiosny.

Zapakowano zaraz kalekę do małego kojca i odtąd przez parę miesięcy miał w nim pozostawać. Karmiono jeńca obficie, wyleczono chore skrzydełko, a gdy przyszedł marzec, obdarzono wolnością. Odleciał wprawdzie z trudem, jednak dość daleko, na pole, pokryte oziminą i znalazł zapewne niebawem nową towarzyszkę, z którą w przykładowym stadle dożyje, być może, sędziwej starości. . .

Władysław Gürtler

DOLE I NIEDOLE JELENIEJ MIŁOŚCI

(Dokończenie z nr 1)

Ciemna jeszcze, choć gwiazdzista noc była, gdy stałem na północnym skraju linii ogniowej między obydwoma przesmykami. W lesie panowała niezmacona cisza. Naraz od strony owych bagienek odezwał się ów krótki, gruby głos, który znamionuje starego byka. Serce myśliwego zabiło radośnie, obliczenia jego okazały się słuszne.

Zacząłem z rzadka wabić na muszli i byk począł odpowiadać, coraz częściej i coraz gniewniej. Irytowało go widocznie, że tam na jego drodze stoi ktoś drugi, co śmie się również uważać za władcę kniei, a może nawet mu zechce usiłować odebrać jego kochankę.

Niebo zaczęło błędnać, gdy z głosu jelenia zmiarkowałem, że byk zaczyna się zbliżać ku mnie, powoli z przystankami, jakby niezdecydowany. Nastąpiły chwile aż bolesnego prawie oczekiwania, czy aby starczy światła, kiedy to myśliwy modlić by się chciał, by słońce przyspieszyło swój bieg, by prędzej rozjaśniło mrok nocy.

Tymczasem duet nasz stawał się coraz gorętszy, byk ryczał coraz gwałtowniej. Rywal na linii odpowiadał równie nieustępliwie. Już słychać było trzask gałęzi, które byk w swej wściekłości siekł wieńcami i zdawało się, że zguba jego jest nieuchronna.

Lecz duch kniei wziął go w opiekę. Las nie miał jeszcze stracić swej najpiękniejszej ozdoby. Zajęty „rozmową“ z jeleniem, nie zauważyłem, jak powoli zaczęły wstawać owe poranne mgły, największy wróg myśliwego na rykowisku. Gdy byk wreszcie stanął nad brzegiem linii ogniowej o kilkadziesiąt kroków ode mnie, opary otuliły świat cały swym płaszczem. Jakby na złość wstał tymczasem świt, lecz oko nie przebijało mgły dalej jak na 30 kroków. Jedyne moja nadzieja polegała na

sprokowanie jelenia do bezpośredniego ataku. Zdjąłem lunetę ze sztucera, oparłszy go o krzak, i z muszlą w jednej, a laską w drugiej ręce rzuciłem wyzwanie, waląc laską po gałęziach. Byk nie pozostał dłużny. To już nie myśliwy wabił jelenia, lecz dwie jakieś bestie obrzucały się obelgami. „Chodź tu bliżej, ty draniu, patrz jakim silny, jak umiem drzewa łamać, zaraz ci tak samo gnaty połamię!“ — ryczał jelen. „Wyjdź z twej kryjówki, ty tchórze, spróbuj się ze mną zmierzyć, ja też umiem wieńcem zmiażdżyć drzewo“, — odpowiadał myśliwy. Nie umiem ocenić jak długo to trwało. Zgiełk był jednak tak wielki, że zbudził leśniczego w leśniczówce o kilometr oddalonej. Opowiadał mi później, że takiego rykowiska jeszcze w swoim życiu nie słyszał.

Lecz potężnemu bykowi nie starczyło odwagi na atak z frontu, choć nie uznał się za pokonanego. Pod osłoną mgły, czy małym wąwozem, przeszedł niedostrzeżony przez linię i ciągle rycząc, usiłował mnie obejść od tyłu, pod wiatr, lasem, nad którego brzegiem stałem. Miarkując jego zamiary, cofnąłem się o kilkadziesiąt kroków i przeszedłem na drugą stronę linii. Dwa razy jeszcze byk powtórzył swój manewr, przechodząc zawsze niedostrzeżony w mgle przez linię. Aż naraz dał za wygrane i zaczął się oddalać w kierunku zachodniej ostoji. Przypuszczalnie towarzysze jego znudziła się ta walka słowna, albo może mniej podenerwowana wyczula, że coś jest nie w porządku i pociągnęła hyka za sobą do spokojnego zagajnika. Pobiegłem jeszcze, żeby mu przeciąć drogę, lecz byk szedł coraz spieszniej, a gdy dotarłem do zagajenia, był już w środku. Raz jeszcze się odezwał, a potem zamilkł, ignorując wszystkie dalsze zaczepki.

Na drugi dzień rano byłem na tym samym miejscu. Z napięciem czekałem, czy byk nie zniechęcił się wczorajszą przygodą do ulubionego nocnego postoju. Lecz nie! Byk był znowu w bagienkach i znowu stamtąd się odzywał. I powtórzyła się historia dnia poprzedniego z tą jednak różnicą, że byk tym razem prędzej wyszedł na linię, lecz jeszcze w ciemności i przystanął w głębokim parowie, na środku linii, śląc stamtąd ku mnie swoje pogroźki. Odpowiadałem mu tym razem słabiej, tyle tylko, by go przytrzymać na miejscu. W tej sytuacji zastał nas brzask i, o radości! na linii mgły nie było. Od wschodu widać było różowiejące niebo, znak pięknej pogody. A byk ryczał w wąwozie na linii! I zdawało się znowu, że godzina jego wybiła. Z napiętymi do ostateczności nerwami, podpełzłem na brzeg wąwozu, spodziewając się każdej chwili ujrzeć swego przeciwnika. Lecz gdy dotarłem do brzegu wąwozu, serce zamarło z rozpacz. Na dnie wąwozu stała mgła, gęsta jak mleko, tak właśnie wysoko, że kryła całkowicie jelenia. Lecz wnet nadzieja odżyła. Przecież gdzieś jelen z parowu wyjść musi, a może dzisiaj pozwoli się prędzej z mgły wywabić! I znowu rozpoczął się dwugłos. Byk rzucił się w wąwozie jak opętany, lecz nie zbliżał się. Naraz umilkł. Po chwili odrywając wzrok od dna parowu po drugiej jego stronie spostrzegłem łanię. Szła pod górę ku północnemu brzegowi linii, stale, lecz wytrwale. Zacząłem wypatrywać byka i wkrótce go spostrzegłem. Szedł za łanią, swą wierną małżonką. Dojrzałem go za późno, bo posuwał się gęśniej zarośniętą częścią linii, a w mglistym jednak powietrzu jego ciemny korpus ledwo się odznaczał na tle brunatnego wrzosu. Pod grzbietem wąwozu przystanąła łania, przystanął i byk. Był olbrzymi! Łania wyglądała przy nim jak kozłak. Nad łbem, na tle trochę jaśniejszym wznosił się olbrzymi, wspaniale rozłożony wieniec z podwójną koroną. Byk obrócił ku mnie swój łeb i patrzył wytrwale w mą stronę. Wypatrywał widocznie swego rywala. Naraz łania ruszyła dalej. Byk się zawahał, spojrzął ku łani i znowu zwrócił łeb ku mnie. Długą chwilę patrzył i staczał ze sobą prawdopodobnie walkę między przywiązaniem do małżonki, które mu nakazywało jej nie odstępować, a chęcią zmierzenia się z rywalem, który też może ma łanię, a którą by mu odebrać można. Lecz skoro tylko łania znikła w lesie, zwyciężyło przywiązanie i byk ruszył za nią. Jeszcze raz nad grzbietem wzgórza, na tle coraz więcej czerwieniącego nieba, zamigotał wieniec i wszystko znikło „jak sen, jaki złoty“. Dlaczego nie strzelałem? spyta ktoś. Nie mogłem! Odległość wynosiła 250 m. Na tę odległość w niepewnym świetle, na tle ciemnym do tak wspaniałego zwierza strzelać nie mogłem. I nie żałuję tego i nie żałowałem, gdy w parę godzin później samochód unosił mnie z powrotem do zgiełku miejskiego. Jechałem bez trofeji, lecz bogaty we wspomnienia wyżej opisane i wiele innych, co więcej są warte, jak wieniec wiszący na ścianie zbyt łatwo zdobyty. Było to jedno z najpiękniejszych rykowisk mego życia, tym milsze

w wspomnieniu, że nie zamącone żadnym wyrzutem, żadnym grzechem myśliwskim.

W przygodzie tej przywiązanie byka do łani uratowało mu życie. Łania w ogóle jest opiekunką byka, i najczęściej go kula dosięgnie, gdy swej czulej opiekunce się sprzeniewierzy.

Ponieważ zaś stosunek byka do łań, gdy ma ich jedną lub dwie tylko, jest intymniejszy, aniżeli gdy włada nad wielką chmarą, częściej go w tym ostatnim wypadku spotyka śmiertelna przygoda. Wielki harem — jak zresztą i u ludzi — nie przywiązuje tak silnie byka do siebie, a przy tym zbyt wiele sprawia kłopotu i trudów. To też byk często na dzień od chmary się oddala, tracąc wierną opiekę. Gdy zaś wieczorem jej znowu musi szukać, zbyt łatwo wpada pod lufę myśliwego.

W ten sposób ubilem przed laty dobrego czternastaka. Był to rewir olszowy, porośnięty gęstą trzcina, przecięty szeroką drogą. Byk ryczał w trzcinie, mając przy sobie kilkanaście łań i dziesiątaka-trabanta. Podszedłem go dosyć blisko, lecz widziałem tylko korony wienców, przesuwające się w tę i w tamtą stronę nad trzcina. Stałem tak przed nim z godzinę. A byk ryczał i bez przestanku oganiał łanie, strasząc trabanta. W pewnym momencie jednak jedna z łań zbliżywszy się zbyt blisko, spostrzegła mnie i wystraszona ruszyła pędem w przeciwną stronę, zabierając ze sobą całą chmarę razem z dziesiątakiem. Stary byk zdziwiony, przystanął nie orientując się, co się stało. Chwilę popatrzał za uciekającymi łaniami niezdecydowany, czy pogonić za nimi, czy też wrócić do ostoi, w której zwykle za dnia odpoczywał. Nad miłością do chmary zwyciężyła jednak chęć odpoczynku. Wyczuwałem w tej chwili jego myśli: „Dosyć mam tego płochego i lekkomyślnego towarzystwa. Niech sobie leć na łamanie karku“. Powoli byk zawrócił, jak gdyby zniechęcony i znużony, i wolnym krokiem ciągnął ku drodze, na której kłęczałem, z sztucerem gotowym do strzału. Gdy wyszedł na drogę, jeszcze raz przystanął, by w tej chwili runąć trafiony moją kulą. Zginął na skutek sprzeniewierzenia się swym małżonkom.

Tak podczas rykowiska triumf graniczy z klęską, śmierć się przeplata z miłością, co nowe stwarza życie.

Człowiek zaś, który tej śmierci jest główną, choć nie jedyną przyczyną, baczyć powinien, by zbyt hojnie nią nie szafował, by nieopatrzenie nie niszczył tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów. Usprawiedliwionym zaś tylko będzie, jeżeli nie tylko z rewiru wywiezie martwą zdobycz, lecz wróci do swych obowiązków, wykapawszy się w źródle tajemnic przyrody.

Dr Stanisław Celichowski

PP. Myśliwych prosimy o nadsyłanie do Redakcji wszelkich własnych ciekawych spostrzeżeń, celem podzielenia się tymi spostrzeżeniami z czytelnikami „Myśliwego“.

O PROCHACH BEZDYMNYCH

W przeciwieństwie do prochów czarnych znanych w Europie od czasów średniowiecza, prochy bezdymne są względnie niedawnego pochodzenia. Najważniejsza część składowa prochów bezdymnych — nitroceluloza, została wynaleziona przez chemika Schönbeina w 1845 r., ale produkt ten był niestabilny i dopiero dzięki badaniom szeregu chemików około 1863 r. nauczono się fabrykować nitrocelulozę zdatną do użytku przemysłowego.

Proces fabrykacji nitrocelulozy (nazwa techniczna: bawełna strzelnicza, Schiesswolle niem., Cotton-Poudre fran., Gunncotton ang.) polega na działaniu mieszaniny kwasów azotowego i siarkowego na białoną bawełnę, względnie tzw. linters (krótkie włókno bawełniane).

Proces ten, zwany nitracją bawełny, prowadzi do otrzymania produktu, który nie różni się na oko od wziętego surowca, ale posiadającego zupełnie inne własności chemiczne i fizyczne. Zamiast bawełny w ostatnich czasach stosują celulozę drzewną dobrze oczyszczoną, gdyż zarówno bawełna jak i celuloza drzewna zawiera α -celulozę, węglowodan o składzie chemicznym ($C_6H_{10}O_5$), zawierający grupy alkoholowe, które z kwasem azotowym tworzą estry. Przebieg nitracji można podać w formie następującego równania: $C_6H_{10}O_5 + m HNO_3 = m H_2O + C_6H_9O_5 - m O - m (ONO_2)m$.

W zależności od temperatury oraz mocy mieszaniny kwasowej otrzymujemy cały szereg estrów azotowych celulozy różniących się składem oraz własnościami, a mających liczne zastosowania techniczne: prochy, materiały kruszące, filmy, celuloid, lakiery itp.

Przy fabrykacji prochu szczególne znaczenie mają dwa rodzaje nitrocelulozy:

1. Bawełna strzelnicza BS_1 , która zawiera około 13,4% azotu i ma nie więcej niż 10% części rozpuszczalnych w mieszaninie alkoholu i eteru.

2. Bawełna kolodionowa BS_2 o zawartości około 12,4% azotu, kompletnie rozpuszczalna w mieszaninie alkoholu i eteru.

Rzadziej używa się jeszcze dwóch gatunków nitrocelulozy: bawełny pirokolodionowej o wysokim azocie i dużej rozpuszczalności oraz bawełny dynamitowej do wyrobu prochów nitroglicerynowych, która daje bardzo lepkie roztwory.

Dalszy proces fabrykacji nitrocelulozy po nitracji polega na usunięciu z niej niestabilnych zanieczyszczeń, które mogą powodować rozkład jej przy magazynowaniu. Jest to proces stabilizacji, polegający na gotowaniu nitrocelulozy w wodzie, rozdrabnianiu jej na maszynach zwanych holendrami, ponownym gotowaniu do czasu wykazania przepisowej próby na stałość. Po czym dopiero odwirowywuje się stabilizowaną nitrocelulozę i pakuje w skrzynie. Zawartość wody w mokrej nitrocelulozie musi być około 30% i w tym stanie jest ona bezpieczna przy manipulacjach z nią w dalszym przerobie lub przy transporcie.

Poza nitrocelulozą do fabrykacji niektórych gatunków prochu bezdymnego używa się jeszcze nitrogliceryny, wykrytej w 1846 r. przez Sobrero. Nitroglicerynę otrzymuje się działaniem mieszaniny nitrującej (kwas siarkowy i azotowy) na glicerynę. Jest to ciecz bardzo łatwo wybuchająca i w stanie wolnym nie używana. Natomiast ma ona bardzo ważną własność tworzenia z nitrocelulozą masy plastycznej i w tym stanie jest względnie bezpieczna. Wielkie zasługi w sprawie przystosowania nitrogliceryny do celów produkcji materiałów wybuchowych położył Alfred Nobel, słynny fundator premii naukowych jego imienia.

Większość prochów myśliwskich przeznaczonych do strzałów śrutowych oraz strzałów kulowych z luf gwintowanych są to prochy, składające się z czystej nitrocelulozy, odpowiednio spreparowanej z nieznacznym dodatkiem ciał, wpływających na stałość chemiczną (stabilizatorów), bądź wpływających na proces spalania się prochów (flegmatyzatorów).

Pierwsze prochy bezdymne były wzorowane raczej na prochu czarnym: zamiast węgla używano nitrocelulozę lub nitrowaną masę drzewną z dodatkiem soli utleniających jak np. saletra. Prochy te miały postać kuleczek. Następnie robiono je z czystej nitrocelulozy i w tym stanie są w użyciu do dnia dzisiejszego. Do tego gatunku należą stosowane obecnie prochy firmy Dupont (Ameryka), Coppal (Belgia), E. C. (Anglia) itp.

Lecz dopiero wprowadzenie prochów nitrocelulozowych żelatynowanych (typu franc. prochu B) o strukturze koloidalnej, stworzyło prawdziwy postęp w dziedzinie prochów bezdymnych.

Do tego typu należą najlepsze prochy doby obecnej jak zagraniczne tak i krajowe: Rottweil, Troisdorf, francuski proch T, i nasze polskie: Łoś, Sokół, Szarak, Kuropatwa itp.

Prochy te są fabrykowane z dwóch rodzajów nitrocelulozy: bawełny strzelniczej (BS_1) i bawełny kolodionowej (BS_2).

Mieszanie tych bawełn przy potraktowaniu ich mieszaniną alkoholu i eteru przerabia się w specjalnych maszynach - ugniataczkach na masę plastyczną, podobną do zwykłego ciasta. Ciasto to prasuje się następnie na wstęgi. Po podsuszeniu wstęgi kraje się masą na małe płytki, odsiewa, moczy w gorącej wodzie dla wyeliminowania resztek rozpuszczalnika, wysusza ostatecznie i w końcu poddaje się procesowi flegmatyzacji, o czym będzie jeszcze mowa, oraz lekkiemu podgrafitowaniu, celem zmniejszenia elektryzacji, która objawia się w stroszeniu się prochu, przylepianiu się ziarn do różnych przedmiotów itp.

Prochy żelatynowane mają bardzo ważną właściwość spalania się w swojej masie warstwami równoległymi tj. tak, że ziarno spala się ze wszystkich stron na jednakową głębokość. Jako rezultat tego zjawiska występuje druga właściwość: szybkość spalania się ziarna jest zależna od jego grubości oraz formy.

Przeto formą ziaren oraz ich grubością można regulować szybkość spalania się prochu.

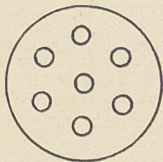
Ilość gazów prochowych powstających ze spalania się prochu w danym momencie jest zależną od łącznej powierzchni wszystkich palących się ziaren. Powierzchnia ta dla ziaren w formie płytek stale maleje, w formie rurek pozostaje stałą, gdyż w miarę spalania się powierzchnia wewnątrz rurki rośnie, a zewnątrz maleje — co się równoważy.

Jeżeli weźmiemy ziarno w formie walca z kilkoma kanalikami, jak na rys. 1, to łączna powierzchnia w miarę spalania się ziarna rośnie.

Taki proch spala się „progresywnie“, tj. w miarę spalania się ładunku ilość gazów prochowych w jednostce czasu rośnie.

Właściwości te są wykorzystywane przy fabrykacji prochów grubszych np. armatnich jak amerykańskie US_3 , US_5 itp., które mają taką właśnie formę cylinderek z siedmioma kanalikami; są też prochy karabinowe, które mają formę małych rureczek.

Progresywne palenie się ładunku prochowego jest bardzo ważną zaletą, która stanie się dla nas jasną, jeżeli zapoznamy się ze zjawiskami zachodzącymi w komorze nabojojowej broni podczas strzału. Z chwilą kiedy spłonka zapala ładunek prochowy, część tego ładunku spala się bardzo szybko, wytwarza dużo gazów, które nie mają jeszcze ujęcia, gdyż pocisk (śrut, kula) jeszcze nie rozpoczął ruchu postępowego, powodując wzrost ciśnienia, które musi przezwyciężyć bezwładność pocisku. Ponieważ procesy spalania się prochu zachodzą bardzo szybko, więc ciśnienie w tym pierwszym momencie rośnie gwałtownie i przy dużym oporze dla ruchu pocisku może przybrać wielkości niebezpieczne dla wytrzymałości lufy. Większość wypadków rozerwania luf jest spowodowana raptownym wzrostem oporu dla ruchu pocisku na skutek jakiejś przeszkody w lufie.



Rysunek nr 1

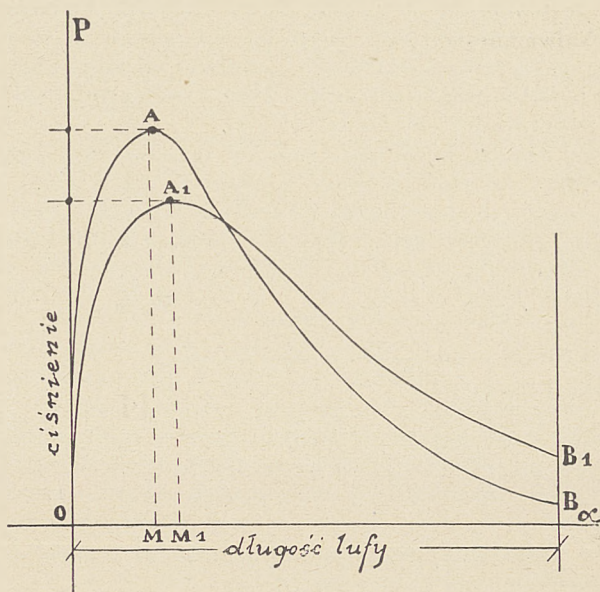
Przeto idealnym prochem będzie taki, który w momencie, gdy pocisk nie rozpoczął jeszcze ruchu postępowego w lufie, spala się możliwie wolno, natomiast kiedy pocisk porusza się już w lufie ruchem przyspieszonym i przestrzeń między łuską a pociskiem rośnie a ciśnienie spada, zaczyna spalać się coraz prędzej i wyrównywa spadek tego ciśnienia. Taki proch pozwala lepiej wyzyskać energię w nim zawartą.

Zjawiska te nabierają na przejrzystości przy zastosowaniu do nich metody graficznej.

Spójrzmy na rysunek nr 2.

Ciśnienie w lufie w czasie strzału ma następujący przebieg: jeżeli na osi OL naznaczymy długość lufy OL, a na osi P ciśnienia panujące w lu-

fie przy różnych położeniach przebiegającego pocisku, to dla prochów nieprogresywnych otrzymamy krzywą OAB. W punkcie M ciśnienie otrzymuje wielkość maksymalną AM i na to ciś-



Rysunek nr 2

nienie musi być obliczona wytrzymałość broni. Natomiast dla prochu progresywnego przebieg krzywej ciśnienia będzie inny, przedstawiony krzywą OA_1B_1 . Widzimy, że ciśnienie maksymalne jest w tym wypadku mniejsze $= A_1M_1$ i następuje nieco później, kiedy pocisk znajduje się w położeniu M_1 .

Skuteczność działania pocisku na zwierzynę zależy od energii kinetycznej, która wyraża się wzorem: $E_0 = \frac{m \cdot V^2}{2 \cdot g}$, gdzie m = masa pocisku, g = ziemskie przyspieszenie, a V = szybkość.

Energia ta jest tym większą, im większa jest praca gazów prochowych, a praca ta, jak uczy nas rachunek i pomiary, jest tym większą, im większą jest powierzchnia zawarta między osią OL i krzywą ciśnień. Dla prochu nieprogresywnego będzie to płaszczyzna OABL, a dla prochu progresywnego płaszczyzna OA_1B_1L . Ponieważ ta druga jest większa, więc proch progresywny przy mniejszym ciśnieniu maksymalnym daje nam większą szybkość początkową, lepsze wyniki strzału i mniej zużywa broń.

Dlatego też współczesne prochy płytkowe, szczególnie przeznaczone do strzałów kulowych z luf gwintowanych, przy których występują z reguły duże ciśnienia około 3 000 kg/cm², poddaje się procesowi tak zwanej „flegmatyzacji“.

Flegmatyzację prochów płytkowych uskutecznia się w bębnach miedzianych wirujących.

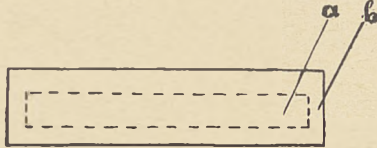
Do bębna wsypuje się proch wysuszony, z lekka go się pografitowuje i zwilża roztworem flegmatyzatora.

Jako flegmatyzatory używa się substancje takie jak kamfora, niektóre pochodne mocznika, które

tworzą z nitrocelulozą roztwory stałe w rodzaju celuloidu. W celu lepszego wymieszania i wypolerowania prochu, do bębnow dodaje się kul drewnianych, które wygładzają ziarna prochu i pomagają wnikananiu w masę ziarna flegmatyzatorów. Flegmatyzatory przenikają w głąb ziaren prochowych na pewną głębokość i im dalej od powierzchni, tym w mniejszej ilości. Sam środek ziarna pozostaje natomiast nienaruszony.

Powłoka taka jest trudniej zapalna, spala się wolno, ale kiedy płomień dojdzie do warstwy niesflegmatyzowanej, szybkość spalania wzrasta. Otrzymuje się efekt progresywnego spalania się prochu.

Przekrój takiej płytki przedstawia rysunek 3.



Rysunek nr 3

a) środek, b) powłoka trudniej zapalna, sflegmatyzowana

Najbardziej progresywne prochy używa się do broni kulowej gwintowanej.

Są to prochy ciężkie, mocno grafitowane. Waga 1 litra takiego prochu wynosi około 850 gramów, a nawet wyżej dla nowoczesnej amunicji myśliwskiej o dużej szybkości pocisku. Pełne spalanie się takiego prochu wymaga ciśnienia powyżej 2 000 kg/cm². Do strzałów śrutem z broni gładkiej prochy te nie nadają się, bo spalanie jest niepełne, ciśnienie bardzo małe, ale i szybkość śrutu bardzo mała, efekt strzału bardzo słaby. Użycie ich w broni śrutowej nie zagraża tej ostatniej, ale nie daje pożądanego rezultatu.

Strzelanie śrutem wymaga użycia w p r a w d z i e prochu p r o g r e s y w n e g o, ale znacznie żywszego, szybciej spalającego się.

Szybkość spalania się prochu jest zależna od ciśnienia, przy którym to spalanie się odbywa. Ponieważ w broni myśliwskiej ciśnienia nie prze-

kraczą na ogół 600 kg/cm², więc proch śrutowy musi się w tych warunkach spalać kompletnie.

Proch śrutowy jest lżejszy (waga 1 litra jest około 500 gramów), słabiej grafitowany i flegmatyzowany.

Strzelanie tym prochem kulami z luf gwintowanych jest wręcz niedopuszczalne, gdyż w warunkach strzału kulowego, proch taki daje za wysokie ciśnienia, niebezpieczne dla wytrzymałości broni. — Bo znacznie słabszy opór stanowi uruchomienie w gładkiej, szerokiej lufie ładunku śrutowego, a znacznie większy przeciśnięcie pocisku płaszczykowego przez ostre gwinty wąskiej lufy nowoczesnej broni kulowej.

Dla oceny prochu wykonywa się szereg prób, którym poddaje się każdą wypuszczoną na rynek partię prochu myśliwskiego.

Najważniejsze są:

1. Próba stałości chemicznej,
2. Zawartość wilgoci,
3. Waga 1 litra,
4. Ładunek zalecany, wypośrodkowany dla różnych kalibrów,
5. Szybkość początkowa,
6. Ciśnienie maksymalne i wiele innych.

Wszystkie wartości muszą być zawarte w określonych granicach.

Dla przeciętnego myśliwego, elaborującego samodzielnie naboje, najważniejszą rzeczą jest stosowanie zalecanego przez fabrykę ładunku, którego na ogół należy się trzymać, gdyż jest on wypośrodkowany na zasadzie szeregu prób i pomiarów gwarantujących bezpieczeństwo i skuteczność działania.

Należy tu zaznaczyć, że proch bezdymny jest wrażliwy na zwilgotnienie i podsuszenie. Przeto musi być przechowywany w naczyniach hermetycznych, a gotowe ładunki w suchym lecz nie gorącym miejscu.

Inż. techn. E. Książkowski

OD PROCHU CZARNEGO DO PROCHÓW BEZDYMNYCH

Odkrycie sposobu fabrykacji prochu czarnego, materiału wybuchowego mającego zastosowanie po dzień dzisiejszy, pokryte jest mgłą tajemnicy. Różne stare kroniki przypisują je zarówno Grekom, jak Hindusom i Chinczykom, możliwe więc, iż — jak to bywa nieraz z wynalazkami — i w danym wypadku w wielu krajach prawie jednocześnie zdołano wpaść na pomysł mieszania saletry potasowej, węgla drzewnego i siarki i otrzymywania w ten sposób materiału wybuchowego.

Czy w Zachodniej Europie powtórnie „wynaleziono“ proch w średniowieczu, czy też receptę i sposób jego wyrobu przyjęto ze Wschodu, nie ma również żadnej pewności. Dość, że w wieku XIV znalazł on zastosowanie jako materiał wybuchowy „miotający“ do armat, pierwszy raz użytych

w Europie w bitwie pod Crecy. W wieku XVI wojska polskie zaopatrzone są już w broń palną, a „młyny“ prochowe posiada zarówno państwo jak i niektórzy magnaci.

W poszukiwaniu silniejszego i nie dającego dymu materiału wybuchowego „miotającego“, w r. 1866 francuski chemik Vieille otrzymał bezdymny proch nitrocelulozowy przez żelatynizację znitrowanej bawełny z mieszaniną alkoholu - eterową, a wkrótce potem w r. 1889 wielki odkrywca dynamitu Szwed — Nobel, otrzymał proch nitroglicerynowy metodą żelatynizacji bawełny strzelniczej z nitrogliceryną. W chwili obecnej wszystkie trzy wspomniane rodzaje prochów znajdują zastosowanie w myślistwie.

JELEŃ WYKOPALISKOWY

Na terenie nadleśnictwa Wejherowo natrafił rohotnik podczas kopania rowu przez torfowisko na szkielet jelenia i wydobyl wieńce nieregularnego szesnastaka z bardzo dobrze utrzymaną szczęką i zębami.

Ze stosunkowo niegrubych mózdzieni oraz mało startych zębów, wiek jelenia określić można na najwyżej 4—5 lat. Byłby to zatem, w dzisiejszej terminologii łowieckiej, jelenź przyszłości. Nieza-



Jeleń wykopaliskowy

leżnie od młodego wieku, rozmiary wieńców są fenomenalne. Długość lewej i prawej tyki 108 i 112 cm, rozpiętość wynosi 109 cm, a ogólna punktacja według systemu Nadlera wynosi 239 p. Jak wielkie byłyby rozmiary wieńców, gdyby jelenź dożył 10 i więcej lat!

Wieńce leżały w warstwie torfu około 2 metry pod powierzchnią ziemi i są zupełnie jasne. Akademia Umiejętności w Krakowie określiła wiek wieńców na około 3 000 lat.

Wieniec wykopany wysłano wraz z innymi trofeami łowieckimi na Wystawę do Berlina, gdzie znajdować się będzie w polskim stoisku trofeów przedhistorycznych.

Należy nadmienić, że poprzednio znaleziono w nadleśnictwie Wejherowo wykopaliskowe wieńce jelenia i to niedaleko miejsca wykopania wieńców szesnastaka. Trzeba z tego wynioskować, że w okolicach, gdzie wykopano wieńce, znajduje się tzw. cmentarzysko jeleni.

L.

RYKOWISKO W ROKU 1937

Nie wiem, jak w innych województwach, ale na Pomorzu i w Wielkopolsce rykowisko jeleni w bieżącym sezonie było (poza kilku wyjątkami) na ogół dość słabe. Rozpoczęło się około 4 września i trwało z przerwami do około 10 października.

Natężenie wzrastało w nocach księżycowych i mroźnych, słabło lub zupełnie przestało z nastaniem cieplejszej i dżdżystej pogody.

W czasie rykowiska dał się obserwować ciekawy szczegół. W łowiskach było wiele chmar składających się z 2—4 łań, którym przodował zazwyczaj młody byczek, szóstak, ósmak, a kilkakrotnie widywałem przy chmarze widłaka, a raz nawet śpiczaka, który ryczał i pokrywał.

W czym szukać przyczyny? Zdaniem moim, powodem tego anormalnego stanu jest zbyt słaby odstrzał hodowlany łań. Chmary stały się zbyt liczne, tak, że byk miejscowy nie umiał obronić swego prymatu, a młode byczki odbijały sobie 2, 3 łańki, tworząc nową chmarę. W związku z powyższym nasuwa się kwestia odstrzału hodowlanego łań. Otóż poza łowiskami z jeleniami przechodnimi istnieją 2 typy łowisk jeleni, mianowicie takie, które przez cały rok mają u siebie normalną ilość łań i byków oraz takie, w których przez cały rok jest stosunkowo wielka ilość łań, mniej natomiast byków, w dodatku słabych, i tylko na czas rykowiska schodzą się byki kapitalne z odleglejszych ostoi. Podczas gdy w łowiskach o typie stałej ilości byków i łań, przeprowadzanie odstrzału hodowlanego jest koniecznością i stosunkowo mało szkodliwe dla natężenia rykowiska, to w łowiskach, do których schodzą się byki kapitalne z odleglejszych łowisk, odstrzał hodowlany łań przeprowadzić należy bardzo ostrożnie i w ilościach minimalnych i koniecznych. Zbyt znaczna redukcja bowiem ilości łań powoduje, że napływ byków kapitalnych w czasie rykowiska maleje i łowiska, które zazwyczaj miały piękne rykowiska, z roku na rok się pogarszają.

Twierdzenia te po części tylko uważam za udowodnione. Wyświetlenie poruszanych kwestii jest bardzo wskazane. Czekam dyskusji.

Myśliwy z Pomorza

DOBRA PRACA POSOKOWCA

25 IX br. p. K. Ł., jeden ze znanych myśliwych Pomorza, strzelił o godz. 16 do jelenia — byka. Odległość wynosiła około 180 m; byk w chwili oddania strzału stał na kulawy sztych. Strzał znaćzył jelenź zaryciem przodu i wyrzuceniem tylnych badyli. Potem znikł w niewielkim młodniku. Wieczorem oczywiście przedyskutowano cały epizod, gdzie kula siedzi itp. Zarycie przodu świadczyło o strzale w badył. Wyrzucenie tylnych badyli i uchodzenie sztuki ze zgarbionym kręgosłupem — strzał w miękkie. Nazajutrz o godz. 9 (około 15 godzin po oddaniu strzału) posadzono na ze-

strzał posokowca (sukę Gerbaulet's Gonda, która obecnie ma szczeniaki). Suka, na długim 10-metrowym otoku, po zrobieniu dużego koła, wpadła na trop i zaczęła prowadzić w zagajenie. Po około 20 metrach markowała pierwszy raz i znalazła nieco kości. Oględziny wykazały, że to kość z badyła (góra). Później suka pokazała nieco farby, a potem miejsce, w którym jeleni stał dłuższy czas i gdzie było więcej farby. Dalszy ślad prowadził z młodnika i dalej 2 km przez uprawy. Suka ślad zmyliła, poprawiła się, pokazała nieco farby, później odłamek kości, i prowadziła dalej przez starodrzew i uprawę do kąpieliska jeleni, znajdującego się od miejsca ostatniej pomyłki około 750 me-



Dobra praca posokowca

trów. Naokoło oraz w kąpielisku znajdowało się wiele śladów — i pies trop pośród wody i błota stracił. Co dalej zrobić? Obszedłem bagno i naraż pies zaczął wietrzyć i prowadzić tropem bez farby (farba zmyta w wodzie kąpieliska!). Naraz w tropie farba i potem znowu nic. Trop prowadził prosto do niewielkiego młodnika. Należało przypuszczać, że byk poszedł i pozostał w młodniku, który następnie obstawiono przez 3 myśliwych. Z psem zamierzałem jelenia lansować. Tuż przy młodniku nieco farby. Nagle około 25 metrów w głębi młodnika uchodzi z wielkim hałasem jeleni. Ciężko uderzają wieńce o drzewa. Puściłem psa z otoku, który podejmuje gon. Jeleń wypada z zagajenia, pies za nim; najbliższy myśliwy strzela i pudłuje. Byk utyka i na 3 badyłach uchodzi. Przed nim woda, za nim pies, po bokach myśliwi. Rzuca się do wody — pies za nim, nawraca i na drugim brzegu zwała go kula myśliwego. Godzina 12 minut 45.

Strzał z dnia poprzedniego przebił, jak pierwotnie przypuszczano, górny badył, gruchocąc w zupełności kość.

I pomyśleć! Stosunkowo lekki strzał, początek szukania postrzałka po 15 godzinach — sama praca trwała 3 godziny i 3 kwadransy i jedynie dzięki psu jeleni został odnaleziony. Bez posokowca przypuszczalnie jeleni by zginął. A morałem całej tej sprawy jest, że nawet sztucer „Magnum“, jak w danym wypadku, nie jest niezawodnym, a dla łowiska z grubą zwierzyną potrzebny jest pies, umiejący chodzić za farbą.

L.

NADMIERNA OCHRONA ZAJĘCY

W jednym z rewirów nadleśnictwa P., bogatym w jelenie, dziki, sarny, lisy i zające, gdzie co roku odbywa się jedno polowanie z naganką na grubszą zwierzynę, a dwa na drobną, podczas zeszłorocznych polowań zauważyłem następujący objaw.

Rewir ten stanowi zwarty kompleks lasu, graniczący w dwu miejscach z sąsiednimi rewirami, a w kilku miejscach z polami. Pod względem polowań na zające podzielony jest na trzy części. Z tych dwie bywają opolowywane corocznie, a w jednej z nieznanym mi powodów nie polowano już od roku 1928. Po ośmiu latach ochrony w roku 1936 zapolowano i w tej części. Gospodarze byli Niemile zdziwieni i rozczarowani nikłym rezultatem na pokocie i małą ilością zajęcy w pędzeniach. Nadmienię muszę, że część ta graniczy z trzech stron z pozostałymi partiami rewiru, a tylko z jednej strony z polami, dzierżawionymi przez doktora G., dobrego znajomego gospodarza, i że ten racjonalnie polując na dzierżawionym przez siebie terenie, podczas jednego tylko rocznie polowania mało zajęcy ubija. Dodać należy, że część ta nie jest bardziej od pozostałych niepokojona przez ludzi, że nie ma tam jeleni, które by wypłasyły ze swych ostoi zające, ani nie ma dużej ilości lisów. Nie poluje się tam ani w lesie, ani na polu na pomyka. Wegetacja jest identyczna z wegetacją reszty rewiru.

Pomimo ochrony ośmioletniej i dogodnych dla rozmnożenia zajęcy warunków naturalnych, podczas polowania w pędzeniach widziano w tej części o wiele mniej zajęcy aniżeli widywano w pędzeniach w częściach pozostałych. Stosunek ilości zajęcy w części opisanej i w częściach opolowywanych co roku równał się mniej więcej 1 : 3.

Czym można wytłumaczyć, że pomimo identycznych warunków naturalnych i tyloletniej ochrony, było w tej części w tak znacznym stosunku mniej zajęcy? Czy wpłynął na to właśnie długi czas ochrony?

Zbigniew Woszczyński jr

stud. leśn. U. P.

MYŚLIWI!

Nadsyłajcie fotografie z krótkim zwięzłym opisem do reprodukcji w „Myśliwym“.

Uprasza się o czarne odbitki na papierze z polyskiem.

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

LISTOPAD MYŚLIWEGO-HODOWCY

Do polowy listopada trwa bekowisko danieli. Silne łopatacze (w miarę potrzeby) należy odstrzelić krótko przed zakończeniem bekowiska, by dać możność dobrym tym re-generatorom pokrywać łanie. Polowanie na zające trwa w dalszym ciągu, a zastosowanie mieć powinny prawidła łowów podane w „październiku myśliwego-hodowcy“. Dodać należy jeszcze, że przy stosowaniu tzw. ławy czeskiej wskazanym jest dla ochrony zającego skrócić skrzydła, a w kiep-skich latach zajączych zakazać strzałów w tyl.

Kto zamierza sprowadzić zające dla odświeżenia krwi, winien już teraz poczynić zamówienia. Najlepiej jest sprowadzić zające w kompletach 1 samiec i 2 samice. Zające ze wschodu i północy są bardziej wytrzymałe i dlatego nadawają się do odświeżania krwi.

W dalszym ciągu tępić należy drapieżniki skrzydlate i czworonożne, szczególnie borsuka (ustawowy czasokres polowania). Drapieżniki chętnie przebywają koło budek i paśników oraz schronów, czekając na łatwą zdobycz.

W listopadzie ukończyć należy budowanie schronów i paśników dla hażantów i kuropatw. Karmy zadawać stosunkowo mało. O ile ptaki do paśników się jeszcze nie przyzwyczyły, sypać posład wąską ścieżynką z kilku stron do budek. Kuropatwy i hażanty idąc śladem ścieżką, wysypaną karmą, trafią do paśnika. Budki najlepiej urządzić z daszkiem we formie stożka, gdyż dach taki najlepiej chroni od zamakania.

Dla jeleni i saren zadawać w paśniki nieco karmy oraz nakładać sól do lizawek. Po stwierdzeniu silniejszych od-wiedzeń paśników przez zwierzynę raciezkową, usuwać od czasu do czasu kał i nieczystości naokoło paśników.

Na większych polach rzepiku lub rzepaku ustawiać należy drabinki z koniczyną lub sianem, które chroni jelenie, daniela i sarny od choroby tzw. rzepakowej.

W lesie można już przystąpić do przecinania wizurek i wyznaczyć i przygotować stanowiska-ambonki dla zimowych polowań.

PRZEZ MIKROFON

W dniu 5 listopada o godz. 18,45 wygłoszą na fali po-znańskiej pp. inż. Tad. Mejer i leśn. Zieliński z Tomaszewa referat na temat „Rykowisko jeleni“.

W dniu 9 listopada o godz. 13 wygłosi na fali toruńskiej dr inż. Leon Ossowski pogadankę łowiecką na temat „Szaraki“.

ŚWIATOWA WYSTAWA ŁOWIECKA W BERLINIE

W dniu 3 listopada br. odbędzie się w Berlinie otwar-cie Światowej Wystawy Łowieckiej, którego dokona Łowczy Rzeszy Goering.

Już dziś możemy się z Czytelnikami podzielić radosną wiadomością, że Polska zajmuje czołowe miejsce w klasy-fikacji światowej trofeów. Wystawiono z Polski około 1000 eksponatów. Z rekordów światowych Polska osiągnęła pod-wójny rekord światowy w parostkach sarnich.

Z 12 rosoch łosi, wiszących w hali honorowej, 6 rosoch pochodzi z Polski, w tym 1 rekord światowy. W dzikach również dzierżymy rekord światowy, a ponadto z ilości 10 najlepszych dzików świata, 6 pochodzi z Polski.

ŚP. WŁODZIMIERZ BŁĄK

Śp. Włodzimierz Błąk sen. zasnął w Bogu dnia 15 października 1937 r. Urodzony w Warszawie 7 lipca 1879 r., po ukończeniu gimnazjum i prze-jściu fachowego wykształcenia pracował śp. Zmarły w Warszawskiej Spółce Myśliwskiej, w której po krótkim czasie został dyrektorem oraz współwłaścicielem. Na skutek nacisku władz rosyjskich mu-siał opuścić Warszawę przed zajęciem niemców, udając się na Krym, gdzie zajął stanowisko pod-łowczego cesarskich lasów krymskich.

Zamiłowany i szlachetny w całym tego słowa znaczeniu myśliwy, prócz szerzenia idei łowieckiej zajmował się także pracą polityczną i społeczną, organizując na Krymie „Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, dla Polaków“, nie szczędząc funduszy własnych na wysyłanie ich do Polski.

Z wielkim nakładem trudu przeprowadził w gimnazjum Krymskim w Aluscie (Alusztą) wy-kłady języka polskiego dla polskich dzieci licznej polskiej kolonii. Tamże zostaje honorowym zastępcą konsula polskiego, narażając się na szkany władz bolszewickich. W roku 1924 powraca do kraju, gdzie poświęcił się dalszej pracy zawodowej, zakładając oddział Warszawskiej Spółki Myśliwskiej w Poznaniu, doprowadzając tę placówkę do rozkwitu dzięki niezmordowanej pracy i energii.

Śp. Zmarły znany był w najszerzych kołach myśliwych całej Rzplitej, a w szczególności w Wie' kopolisce, szerząc niezmordowanie ideę łowiecką, popierając poza tym wielkim nakładem materialnym strzelectwo myśliwskie i biorąc czynny udział w wszystkich poznańskich zrzeszeniach myśliw-skich.

Towarzyszy Mu żal tych wszystkich, którzy Go znali, kochali i szanowali.

Cześć Jego pamięci!

Wilki i rysie polskie są bez konkurencji, a w klasie niedźwiedzi zajęliśmy II miejsce, jeleni górskich natomiast IV indywidualne (w 4 hali honorowej).

Ponadto hez konkurencji są nasze żubry, słowem sukces w całej pełni! Szczegóły z Wystawy w następnym numerze.

O.

KONKURS WYŻŁÓW

W Strzeszynie w dniu 9 września hr. odhły się kon-kurs wyżłów. Zgłoszono 10 wyżłów, w tym jeden pointer oraz jeden setter irlandzki.

Komisja w składzie pp.: Aleksander Gaponow, Jan Heinze, Roch Nowicki i dr Szymański przyznała następu-jące nagrody:

Pierwszą nagrodę otrzymał „Rolf“ z Boreczka, wł. leśn. Franciszek Ciupiński, Lechlin p. Skoki — medal złoty Pol. Zw. Łowieckiego. Drugą nagrodę „Lord“ z Rościnną, wł. leśn. B. Poczta, Rościnną p. Skoki — medal srebrny Wlkp. Izby Rolniczej. Trzecią nagrodę „Hero“ z Boreczek, wł. leśn. Kaatz, Dusina — medal brązowy W. Z. M. Czwartą nagrodę

„Czok“ z Boreczek, wł. leśn. Kaatz, Dusina — list pochwalny Wlkp. Izby Rolniczej. Piątą nagrodę „Dina“, wł. p. B. Poczta, Rościnnu p. Skoki — list pochwalny W. Z. M.

Za pracę w polu otrzymali: pointer „Splendor Bej“ własność p. Faltera — medal złoty W. Z. M., setter irlandzki „Lord“, wł. pulk. Minkusz — medal srebrny W. Z. M.

Oprócz nagród w postaci medali otrzymali menerzy za pracę swych wyźłów — upominki: leśniczy p. Ciupiński — futerał do strzelby, dar Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, oddział w Poznaniu, leśniczy p. Poczta — zegar biurkowy, dar Towarzystwa Łowieckiego w Poznaniu, ul. Młyńska 9, leśniczy p. Kaatz, leśniczy p. Poczta i leśn. bracia Pieprzyki — nahoje, których 200 sztuk ofiarowała firma „Pocisk“, oddział w Poznaniu.

Jak poinformował Sekcję Kynologiczną Sekretariat W. Z. M. wyasygnował Wielkopolski Związek Myśliwych zł 200. — na pieniężne nagrody dla menerów, prowadzących wyźłów dowodnych — które to pieniądze po otrzymaniu od skarbnika W. Z. M. zarząd Sekcji odpowiednio rozdzieli pomiędzy menerów.

Asygnata ta przeszła, jak widać, staraniem Prezesa Polskiego Zw. Łowieckiego w Poznaniu, jako Prezesa Wielkop. Zw. Myśliwych, pana pułkownika Chlapowskiego, który zaszczylił swą obecnością odbyte próby i widząc postęp w pracy wyźłów dowodnych jako uczestnik i organizator przeszło od 10 lat odbywających się z roku na rok egzaminów sprawności, mógł najlepiej ocenić wysiłek hodowców i pracę Sekcji Kynologicznej W. Z. M.

KONKURS WYŻŁÓW DOWODNYCH W KÓRNIKU

Dzięki staraniom Sekcji Kynologicznej „Łowca Wielkopolskiego“ odbyły się dnia 23 września br. konkursy wyźłów dowodnych w Kórniku, w rewirze leśnym Zwierzyniec i na polach Mieczewa, udzielonych łaskawie przez Naczelnika Zakładów Fundacji Kórnickiej p. Antoniego Pacyńskiego.

Przed Komisją Sędziów w składzie: pp. dra Jana Łukowicza, wiceprezesa Pom. Tow. Łowieckiego, jako przewodn., dra Stanisława Celichowskiego, prezesa „Ł. W.“, nadl. Tadeusza Metziga, przew. Sekcji Kynologicznej „Ł. W.“, radcy Józefa Ziółkowskiego, łowczego „Ł. W.“, Stefana Rousseau, sekretarza „Ł. W.“, inż. Bolesława Golenckiego, sekretarza Sekcji Kynolog. „Ł. W.“, stanęło sześć psów na dwanaście zgłoszonych. Po wylosowaniu Komisja sędziów przystąpiła do prezentacji psów.

1. „Lord“ z Rościnnu, urodzony dnia 9 VIII 1935. Wyżeł szorstkowłosy, brązowy, na piersi szara łata. Budowa dobra, normalna pierś głęboka. Właściciel i treser B. Poczta.

2. „Magda“ v. d. Sonnenberg, urodzona dnia 8 VI 1932, suka szorstkowłosa brązowa, dobrze zbudowana, o piersi głębokiej. Właściciel i treser Piotr Kaatz.

3. „Dina“ v. Bruchhof, urodzona dnia 31 III 1936, importowana suka szorstkowłosa, ciemno-brązowa, dobrze zbudowana. Właściciel i treser Bolesława Poczta.

4. „Boy“ z Ostrowia, urodzony dnia 6 I 1930, wyżeł szorstkowłosy, ciemnobrązowy, dobrze zbudowany, o piersi głębokiej. Właściciel i treser por. Józef Łuczowski.

5. „Czok“ z Boreczka, urodzony dnia 27 III 1963, wyżeł szorstkowłosy, brązowy, o piersi biało nakrapianej, budowa na ogół dobra. Właściciel i treser Piotr Kaatz.

6. „Rolf“ z Boreczka, urodzony dnia 27 III 1936, wyżeł szorstkowłosy, brązowy, z białymi brązowo nakrapianymi

latami, budowa dobra, tylko zbyt spadzisty kuper. Właściciel i treser Franciszek Ciupiński.

Nie stanęły do konkursu: 1. „Strup-Sonnenberg“, p. Feliksa Gramowskiego. 2. „Sturm“ z Jacewa, p. Brunona Gramowskiego. 3. „Hero“ z Boreczka, p. Piotra Kaatza. 4. „Trop“ z Boreczka, p. Bolesława Poczty. 5. „Echo“, p. dyr. T. Lorkiewicza. 6. „Rex“, p. nadl. Br. Tomaszewskiego.

Po prezentacji przystąpiono do egzaminowania wyźłów w poszczególnych działach. Ponieważ od rana padał deszcz, postanowiono odłożyć pracę leśną na porę późniejszą i rozpoczęto egzamin ciętością, a następnie pracą wodną. W międzyczasie przy stałe poprawiającej się pogodzie jeden z sędziów przygotował sfarbowany trop. Po załatwieniu się z pracą leśną udała się komisja sędziów wraz z wyźłami i gośćmi obserwującymi popisy wyźłów na pola Mieczewa, gdzie odbyła się ostatnia próba tj. praca polna.

Poszczególne psy pracowały następująco:

1. „Lord“ z Rościnnu: w pracy za farbą początkowo szedł dobrze, jednak po przecięciu tropu przez zajęce stracił trop i musiał być na trop powtórnie naprowadzony. W ciętości początkowo dobrze osadzał drapieżnika, a po kilku minutach zadławił go. W aportowaniu zgubionego drapieżnika i zwierzyny użytecznej bardzo dobry. Praca wodna i polna bardzo dobra. Uzyskał ogółem 196 punktów

2. „Magda“ v. d. Sonnenberg: W pracy za farbą dobra. Zwierzynę użyteczną aportowała bardzo dobrze, przy aportowaniu drapieżnika zawiodła, po dojściu do drapieżnika podniosła go, lecz następnie go rzuciła. W pracy wodnej i polnej bardzo dobra. Uzyskała punktów 182 i II premię.

3. „Dina“ v. Bruchhof: W pracy za farbą bardzo dobra. Aportowanie zgubionego drapieżnika i zwierzyny użytecznej bez zarzutu. Drapieżnika nie zdławiła, lecz bardzo dobrze osadzała. Praca wodna i polna bardzo dobra. Uzyskała punktów 199 i II premię.

4. „Boy“ z Ostrowia: W pracy za farbą dostateczny. W aportowaniu zgubionego drapieżnika i zwierzyny użytecznej bardzo dobry. W ciętości okazał się bardzo dobry, kota w jednej chwili schwycił i momentalnie zdławił. W pracy wodnej dobry, w pracy polnej bardzo dobry. Uzyskał punktów 201 i III premię.

5. „Czok“ z Boreczka: W pracy za farbą dość dobry. W aportowaniu zgubionego drapieżnika i zwierzyny użytecznej bardzo dobry. W ciętości kota nie dławil, lecz bardzo dobrze osadzał. W pracy polnej i wodnej bardzo dobry. Uzyskał punktów 194 i II premię.

6. „Rolf“ z Boreczka: W pracy za farbą dość dobry. Zgubioną zwierzynę użyteczną aportował bardzo dobrze, drapieżnika nie aportował. W ciętości bardzo dobry. Praca wodna i polna bardzo dobra. Uzyskał 196 punktów i III premię.

Na ogół trzeba stwierdzić, że w pracy leśnej psy nie okazały się wybitne, jednakże w pracy wodnej i polnej wszystkie psy były doskonałe.

Komisja Sędziowska postanowiła przyznać nagrody następujące: 1. nagroda „Dina“ v. Bruchhof 60 zł; 2. nagroda „Czok“ z Boreczka 45 zł; 3. nagroda „Lord“ z Rościnnu 35 zł; 4. nagroda „Boy“ z Ostrowia 25 zł.

Za najlepszą budowę przyznano medal srebrny Wielkopolskiej Izby Rolniczej „Lordowi“ z Rościnnu, a „Czokowi“ list pochwalny W. I. R.

Za najlepsze prowadzenie wyźła na konkursie z ramienia Kujawskiego Koła Łowieckiego przyznał p. Walenty Przybyła 20 zł p. Ciupińskiemu z Lechłina.

UBEZPIECZENIE MYŚLIWYCH OD ODPOWIEDZIALNOŚCI PRAWNEJ

W okresie polowań dzienniki przynoszą wiadomości o nieszczęśliwych wypadkach, które wydarzają się podczas łowów. Czytamy o postrzeleniu myśliwego, naganiacza, nieraz nawet o zabiciu uczestnika polowania, a i wypadki spowodowane nieostrożnym obchodzeniem się bronią palną, zachodzą dość licznie.

Myślistwo — to sport wymagający dużej rutyny, uwagi i ostrożności; a jeżeliby nawet każdy myśliwy posiadał te zalety, nie przekreśli to jednak tej cechy myślistwa, że jest to sport niebezpieczny; niebezpiecznym dla otoczenia jest on dlatego, że wchodzi tu w grę broń palna. Pomijając już bądź co bądź częste wypadki przy nieostrożnym obchodzeniu się z bronią, przecież nawet najwytrawniejszemu myśliwemu może się zdarzyć postrzelenie w gąszczu leśnym naganiacza lub swego kolegi z sąsiedniego stanowiska. Zapadające ciemności zmniejszają bystrość oka, a wrzawa i odgłosy strzałów, przebiegająca zwierzyna, nawoływania naganiaczy mogą o zdenerwowanie i mniejszą pewność ręki przyprawić doświadczonego już szermierza spod znaku św. Huberta. Przysłowie „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“ nie powstało chyba w odezwaniu od życia.

Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu to nie tylko niemiły zgrzyt dla uczestników, ale przede wszystkim źródło odpowiedzialności dla sprawcy względnie właściciela broni. Poszkodowanego nieszczęśliwym wypadkiem, a w razie śmierci, rodzinę poszkodowanego biorą w obronę obowiązujące przepisy prawne, które czynią sprawcę odpowiedzialnym nie tylko karnie, ale przede wszystkim cywilnie.

Kodeks zobowiązań w art. 134 i następnych określa dokładnie zakres odpowiedzialności sprawcy za własne czyny nakładając na niego obowiązek „naprawienia szkody“. Przez pojęcie szkody należy rozumieć zarówno szkodę majątkową jak i krzywdę moralną, a jeżeli chodzi o szkodę majątkową, trzeba przyjąć nie tylko pojęcie straty rzeczywiście poniesionej, ale także zysku, który poszkodowany mógłby osiągnąć, gdyby nie nastąpiło zdarzenie, które go udaremniło. Przepisy prawne żądają w zasadzie odszkodowania pieniężnego, a specjalne artykuły określają zakres odszkodowania, jeżeli chodzi o uszkodzenie ciała, pozbawienie zdrowia i pozbawienie życia. Prócz zwrotu kosztów leczenia czy pogrzebu, prócz jednorazowego odszkodowania względnie renty dla poszkodowanego lub członków rodziny zmarłego, przewiduje kodeks zobowiązań w art. 165 tzw. nawiązkę czyli prawo żądania od sprawcy stosownej sumy pieniężnej, jako zadośćuczynienie za cierpienia fizyczne.

Niewątpliwie jeden czy drugi nieszczęśliwy wypadek na polowaniu, a co zatem idzie obowiązek wypłacenia kilku, a nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych, uczynią z urodzonego myśliwego nie tylko wroga polowań, ale mogą podciąć na długie lata, a nawet na zawsze materialny byt danej jednostki. Praktyczny umysł ludzki znalazł tu środek zarad-

czy, stwarzając ubezpieczenie od odpowiedzialności prawnej, ciężącej na danej osobie z tytułu zajmowania się myślistwem.

Przez ubezpieczenie przerzuca myśliwy to groźne widmo szkody materialnej, nieraz bardzo dużej, na zakład ubezpieczeń. Za stosunkowo drobną opłatą obciąża myśliwy, jako ubezpieczający, instytucję ubezpieczeniową obowiązkiem świadczenia na wypadek szkody do sum bardzo dużych, bo wynoszących:

do 25 000 zł za uszkodzenie jednej osoby,

do 75 000 zł za uszkodzenie kilku osób w jednym wypadku, oraz

do 5 000 zł za uszkodzenie cudzej własności.

Wymienione sumy gwarancyjne mogą być powiększone przy nieznacznie wyższej składce.

Zrozumiałym jest, że ubezpieczenie od odpowiedzialności prawnej nie obejmuje obowiązku odszkodowania za czyny umyślne.

Prawie wszystkie zakłady ubezpieczeń rozszerzają zakres odpowiedzialności z tytułu ubezpieczenia nie tylko na wypadki podczas polowania, lecz także włączają odpowiedzialność urządzającego polowania z nagonką, dzierżawcy polowań oraz posiadacza broni palnej (np. wypadki wskutek nieostrożnego obchodzenia się bronią poza polowaniem). Za specjalną dopłatą włącza się do ubezpieczenia odpowiedzialność z tytułu posiadania psa do polowania.

Ubezpieczeniem od odpowiedzialności prawnej jest objęty nie tylko obowiązek odszkodowania przez zakład ubezpieczeń szkód wyrządzonych przez śmierć, cielesne obrażenie lub uszkodzenie zdrowia osób trzecich, jak również cudzej własności, lecz w przypadkach wątpliwego powstania odpowiedzialności prawnej sprawcy nieszczęśliwego wypadku, udziela się także obrony sądowej i poza sądowej przez adwokata, a nawet daje się obrońcę w postępowaniu karnym, wdrożonym z powodu czynu, który mógłby uzasadnić roszczenie z umowy ubezpieczenia.

Przez ubezpieczenie więc — z jednej strony myśliwy uwalnia się od niebezpieczeństwa uszczerbku swej substancji majątkowej i związanych z tym kłopotów, gdyż wystarczy zgłoszenie wypadku zakładowi ubezpieczeń, z drugiej strony zaś ma zapewnione należyte odszkodowanie rodzina zabitego na polowaniu lub ten, który podczas łowów doznał uszkodzenia zdrowia. W obronie właśnie poszkodowanych staje dziś ustawodawstwo państw zachodnich (Niemcy, Francja), gdyż wprowadza się przymus ubezpieczenia się wszystkich myśliwych od odpowiedzialności prawnej.

Projekt nowelizacji prawa łowieckiego w kierunku wprowadzenia przymusu ubezpieczenia się myśliwych od odpowiedzialności prawnej, jest również przygotowany w Polsce.

Jasnym jest, że żaden przeczorny myśliwy nie będzie czekał, aż przynagli go do ubezpieczenia przymus i groźba sankcyj, lecz we własnym, najlepiej pojętym interesie, zawrze ubezpieczenie.

3. Czy strzelając zające „na szukanego“ zabija się przede wszystkim samice?

Mniemanie, że zające samiczki dosiadują, „mądrze“ samce zaś „więcej“ zawczasu, jest bardzo rozpowszechnione. Stąd też powstało twierdzenie, że polując na zające na szukanego, wybija się przeważnie samice.

Na błędność tego zapatrywania zwrócił uwagę już sławny autor „Diezel“ w swoim pięknym dziele „Die Niederjagd“.

Osobiście obserwowałem tę rzecz od kilku lat i zadawałem sobie trudy stwierdzenia płci u każdego zająca wydeptanego. Niestety mój materiał jest bardzo szczupły.

Rok 1934 — 12 zające — 7 samców 5 samic

„ 1935 — 4 „ — 1 „ 3 „

„ 1936 — 9 „ — 6 „ 3 „

Trochę materiału dostarczyli mi i inni myśliwi; p. dr B. zadał płęć u 16 zające zabitych na szukanego i stwierdził 9 samców, 7 samic, p. F. z P. podał mi rezultat sześciu zające „poszukanych“ przez borowego w ciągu roku dla kuchni, niezależnie od urządnego polowania dużego, okazało się, że padły 3 samce 3 samice.

Ogółem więc na 47 zające wydeptanych padło 26 samców i 21 samice. Może i inni myśliwi będą prowadzili w bieżącym roku zapiski i podzielią się swymi spostrzeżeniami.

Częste chodzenie po polu na szukanego zajączka może niepokoić rewir i powodować wyprowadzanie się zające, ale o wybijaniu tym systemem samic mowy być chyba nie może.

J. S.

Jest rzeczą bezsprzecznie stwierdzoną, że podczas polowania na pomyka lub szukanego ubija się większy procent samic! Samice bowiem, jako bardziej ociężałe, rzeczywiście twardo dosiadują. Ze zbadanych przeze mnie w ciągu 12 lat zające (około 120 sztuk) ubitych na pomyka, mniej więcej 80% było samicami. Dalsze doświadczenia przeprowadzone przeze mnie nad stosowaniem systemów polowania i procentu ubitych samców i samic każe mi wysnuć wniosek, że samce, nie jako mądrzej, ale jako nie biorące udziału w wychowywaniu młodych, zawsze prędzej podnoszą się z kotłów (p. artykuł w nrze 1 pt. Październik myśliwego-hodowcy).

Podane przez J. S. dane co do płci mogą być mylne, a twierdzenie moje opieram na tym, że trudno bardzo odróżnić na pierwszy rzut oka samca od samicy. Jądra bowiem u samca widoczne są tylko w czasie parkotni; od października do stycznia są zupełnie przyschnięte. Ponadto członek męski (penis) na pierwszy rzut oka jest ładząco podobny do lechtaczki (clitoris) samicy, tak że bardzo często nawet u doświadczonych myśliwych trafiają się omyłki co do określania płci. A określenie płci metodą zewnętrzną u zająca ubitego przed 12 godzinami jest prawie że niemożliwe. Przeprowadzić należy sekcję organów płciowych.

Dr L. O.

KSIAŻĘ BERNARD HOLENDERSKI — A DOBRY INTERES

W poniedziałek 11 X 1937 r. odbyło się piękne polowanie w Iwnie u hr. Ignacego Mielżyńskiego z udziałem księcia Bernarda holenderskiego i jego towarzyszy. Rozpisała się o tym obszernie prasa codzienna ilustrując aż do sensacji rozdmuchane artykuły licznymi fotografiami. Wyzyskał ten moment znany poznański handlarz dziczyzny. Zakupił cały rozkład i umieścił w oknie wystawowym odnośne artykuły i stosowny napis i w ten sposób pozbył się w mig całego towaru. Okna wystawowe sprytnego kupca były do tego stopnia obłożone, że hamowało to normalny ruch uliczny. — Pieniądz leży na ulicy, trzeba go tylko umieć podnieść.

4. Obserwuję w moim łowisku, szczególnie w 6 sąsiadujących z sobą oddziałach (około 1200 ha lasu i pola w powiecie wrocławskim) coraz częściej kozły, które mają parostki krótkie, tepe oraz zakręcone jak świder. Zastrzeliłem w bieżącym sezonie 6 kozłów o takich parostkach.

Jakie są powody powstania takich parostków oraz czy są to objawy dziedziczne? G. Karpowicz, Brzechwy

Odpowiedź — artykuł w nrze 2 pt. „Przyczynek do badań nad powstaniem parostków korkociągowych“.

5. Na wodach mego łowiska zastrzeliłem nurka. Gdy po ptaka posłałem mego psa-wyżła, ku memu zdziwieniu pies mi zdobyłczy nie zaaportował. Pies dopłynął, powąchał ptaka i z widocznym obrzydzeniem powrócił. Zaznaczyć muszę, że pies jest bardzo dobry, ułożony do pracy wodnej, każdą kaczkę i inne wodne ptactwo bezwzględnie aportuje. Gdy nurka żerdziami z wody wydobyto i na brzegu położono, doprowadziłem znów psa i zauważyłem zupełnie wyraźnie pewną awersję psa. Czym sobie to tłumaczyć, może mi który z myśliwych dać na to odpowiedź?

N. N.

Objawy opisane przez Pana można dość często zauważyć u psów nawet najlepszych aporterów. Bardzo niechętnie aportują one wodne i błotne ptaki jak perkozy, łyski itp., ponieważ posiadają wstrętny zapach błota i tranu. Bardzo też możliwe, że wyżel ten został kiedyś podczas aportowania przez rannego nurka dotkliwie skaleczony, co sobie pamiętał. Objaw ten nie obniża absolutnie cnoty i wartości wyżła.

T. Metzig

6. W czerwcu br. w czasie sieczenia ląk wysiekli jedno gniazdo kuropatwy 18 jaj i trzy jaja bażancie, drugie gniazdo dziesięć kuropatwich jaj, a jedno bażancie. Pierwsze wylęgły się w dwa dni po sieczeniu, a na jajach bażancich kuropatwa siedziała jeszcze trzy dni, lecz nie wiem, czy się wylęgły, czy też zostały zniszczone przez kogo. Czym wytłumaczyć to zjawisko?

B. St.

Zdarza się niekiedy, że młode kury bażancie składają jaja w gniazda kuropatw, cietrzewi lub gluszców. Zjawisko to należałoby sobie tłumaczyć tym, że młoda kura (roczna) nie zawsze zdaje sobie sprawy z obowiązków gniazdowania. Jest to tym bardziej wytłumaczalne dlatego, że bażanty jako zwierzyna importowana, po części wyrosła w hodowli wsobnej, na skutek braku odświeżenia krwi łatwo się degeneruje.

O.

7. Czy są specjalne fabryczne trutki do rozłożenia na wałęsające się psy?

B. B.

Specjalnych trutek fabrycznych na wałęsające się psy nie ma. W Niemczech istnieją fabryczne trutki fosforowe (jaja) na wrony, sroki itp. skrzydlate drapieżniki.

O.

Na okładce fotografia „Na tropie lani“

Nakład i druk: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa Spółka z ogr. o.d.p. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.

Redaktor odpowiedzialny: Sylwester Michał Urbański.

Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12.

Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28.

ROLNICZA DRUKARNIA I KSIĘGARNIA NAKŁADOWA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

POZNAŃ, SEW. MIELŻYŃSKIEGO 24 • TELEFON 23-65

P O L E C A

L I T E R A T U R Ę M Y Ś L I W S K ą :

<i>Burzyński W.</i> : Z Karpat. Wspomnienia myśliwskie	4,50	<i>Krzywoszewski S.</i> : Z przeżyć i wrażeń myśliwskich	12,—
<i>Chodzicki E.</i> , dr: Nowe typy karmików dla ptaków	0,30	<i>Maletz H.</i> : Przepisy: O broni, amunicji, materiałach wybuchowych; łowieckie	2,50
<i>Czudek A.</i> : Gluszec w lasach śląskich	3,—	<i>Neumeister Max</i> , dr: Żywienie jeleni i sarn	1,20
<i>Domaniewski J.</i> : Ptaki naszych lasów, cz. I	5,20	<i>Niedbał L.</i> , ks.: Z łowisk wielkopolskich — brosz. zł 5,—, opr.	6,50
<i>Downar-Zapolski H.</i> : Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie	2,—	<i>Niedbał L.</i> , ks.: Hodowla, wychowanie i tresura wyżła dowodnego — opr. zł 8,—, brosz.	6,—
<i>Dyakowski B.</i> : O dawnych łowach i dawnej zwierzynie — brosz. zł 4,—, kart.	5,—	<i>Orski S. W.</i> : A było to w czas rano	2,—
<i>Dylewski P.</i> : Lis. Monografia myśliwska	3,—	<i>Ossowski L.</i> : Choroby zwierzyny łownej	2,—
<i>Dzikowski S.</i> : Egzotyczna Polska	8,—	<i>Pac-Pomernacki</i> : O wronie i walce z nią w łowisku	1,—
<i>Ejsmond J.</i> : Moje przygody łowieckie	14,—	<i>Pisuliński A.</i> : Szlakiem słonia afrykańskiego — brosz. zł 5,50, kart.	7,—
<i>Giżycki K.</i> : Polowania egzotyczne	1,—	<i>Potocki H.</i> : W krainie Massajów	10,—
<i>Grąbczewski B.</i> : Wspomnienia myśliwskie	4,—	<i>Różyński F.</i> i <i>Schechtel E.</i> , dr: Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju	2,—
<i>Gürtler Wł.</i> : Obrazki myśliwskie	2,40	<i>Rzewuski A.</i> : Ze strzelbą na ramieniu	8,—
<i>Gürtler Wł.</i> : W polu i w lesie	1,30	<i>Sokołowski J.</i> : Ochrona ptaków	1,—
<i>Gürtler Wł.</i> : Nasze skrzydlate drapieżniki (monografia)	2,30	<i>Sylva Tarouca E.</i> , hr.: Hodowca a myśliwy	3,—
<i>Janta-Polczyński Wł.</i> : Estetyka łowiectwa	2,—	<i>Sztolcman J.</i> : Tablice ściennie do określania ptaków drapieżnych i krukowatych	0,50
<i>Janta-Polczyński Wł.</i> : Karczma pod wilkiem	1,50	<i>Śliwiński</i> : Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku	1,—
<i>Janta-Polczyński Wł.</i> : Polująca pani	3,50	<i>Świętorzecki B.</i> : Podstawy łowiectwa oraz zarys teorii strzału śrutowego — opr. zł 10,—, brosz.	8,—
<i>Janta-Polczyński Wł.</i> : Ramoty myśliwskie	3,—	<i>Świętorzecki B.</i> : Gluszec (monografia)	2,50
<i>Jonkisz O.</i> : Hodowla bażantów w zamknięciu	0,75	<i>Thaler Arnold</i> , dr: Prawo łowieckie. Rozporządzenia wykonawcze. Orzecznictwo. Objasnienia. Przepisy związkowe. Wzory statutów i podań w sprawach łowieckich	1,50
<i>Juny Z.</i> : Prawo łowieckie ogłoszone w Dz. U. R. P. Nr 110, poz. 934 z dnia 14 XII 1927 w brzmieniu ustalonym w Dz. U. R. P. Nr 67, poz. 622 z 1932 r.	2,—	<i>Wróblewski K.</i> , dr: Żubr puszczy białowieskiej	15,—
<i>Kemmer H.</i> : Hodowla bażantów	3,—	<i>Wróblewski K.</i> , dr: Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra	4,60
<i>Knothe H.</i> , inż.: Ocena trofeów myśliwskich	0,50	<i>Zaborowski S.</i> : W sercu kniei	7,20
<i>Korsak Wł.</i> : Rok myśliwego. Rzecz dla myśliwych i miłośników przyrody — opr.	18,—		
<i>Korsak Wł.</i> : Ku indyjskiej rubieży — brosz. zł 4,20, kart.	5,40		
<i>Krawczyński W.</i> , inż.: Łowiectwo — dawn. zł 13,—, cena niższa	3,—		

W Y K O N U J E

DRUKI WSZELKIEGO RODZAJU

DLA PANÓW ADWOKATÓW, NOTARIUSZY, LEKARZY, KSIĘŻY PROBOSZCZÓW,
DLA KUPIECTWA, PRZEMYSŁU, ROLNICTWA I INSTYTUCYJ SAMORZĄDOWYCH